

PODGLĄD



Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

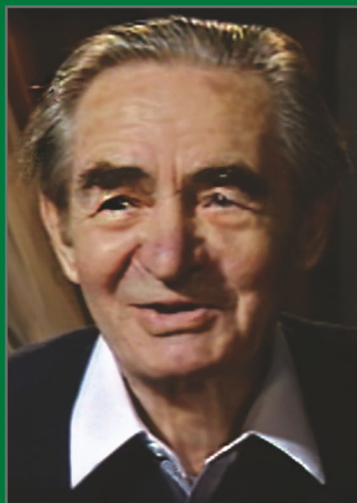
ISSN 2392-2753

Nr 1-2-3 (32-33-34)

tom IX 2023

J. Andrzejczak
A. Bańkowska
K. Bielecki
J. Binkowski
T. Bołdak-Janowska
K. Choiński
J. Cywińska
T. Domović
Ł. Dudzińska
G. Filip
É. Finta
I. Frender
B. Goles Glasnović
D. Katunarić
M. Kirin
A. Książek
A.W. Kulik

G. Kurylewicz
J. Marciniak
P. Müldner-Nieckowski
A. Nasiłowska
Ł. Nicpan
É.P. Maklári
O. Olchowa
A. Patey-Grabowska
M.J. Piasecka
K. Rudziński
K.S. Schreyer
S. Serföző
K. Sutarski
G. Walczak
O. Wójcik
B. Wrocławski
Z. Zbikowski



Zbigniew Bieńkowski

Akt drugi

Pokój Jana. Dużo starych książek. Trochę starych mebli. Kilka krzeseł, stół. Z boku w niszy staroświeckie łóże, w okolicach łóżka kilka wschodnich makat o wyblakłych kolorach. Na jednej z półek mały żaglowiec. Nie opodal łóżka latarnia — lampa o kolorowych szkiełkach. Wielkie weneckie okno, przez które widać dachy starych domów i kawałek morza. Drzwi od schodów wejściowych, drugie naprzeciw do ciemnej alkowy. Widno jeszcze. Dzień. Niedługo jednak zacznie się ściemniać. W pokoju nieobecnego Jana znajduje się Med i zastawia stół jedzeniem. Wchodzi Jan, ponury, zgnębiony. Nie mówi nic. Po chwili spojrzał na stół.

JAN

Co to?

MED

nieśmiało

Przyniosłam ci trochę, żebyś zjadł.

JAN

Myślisz, że nie jestem po obiedzie?

MED

Nie jadłeś obiadu. Będziesz głodny. Proszę cię, zjedz.

Jerzy Szaniawski

Pierwsza strona aktu drugiego komedii *Żeglarz*
Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1984



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok VII Nr 1-2-3 (32-33-34) 2023

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelny

Zbigniew Zbikowski

Prezes OW SPP

Zastępcy redaktora naczelnego

Małgorzata Karolina Piekarska

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki, Sylwia

Gibaszek, Dorota Koman, Małgorzata

Strękowska-Zaremba

Korekta

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

W NUMERZE

Zbigniew Zbikowski

Spod różnych znaków3

KRYTYKA – ESEJ – FELIETON

Piotr Müldner-Nieckowski

Krzysztof Bielecki: *Zsunęła się z krzesła. Ciennik*5

Łucja Dudzińska

O książce Igora Frendera
Idziemy, jest stromo7

Jerzy Binkowski

BÓG JAK NIC w każdym szczególe
(O poezji Janusza Andrzejczaka) ...9

Grzegorz Walczak

Kilka słów o spektaklu *Jentl*
w Teatrze Żydowskim w Warszawie
i o Aleksandrze Idkowskiej w roli
głównej bohaterki spektaklu16

Piotr Müldner-Nieckowski

Grzegorz Filip: *Iluminacja*19

Piotr Müldner-Nieckowski

Bohdan Wrocławski: *Wiersze
wybrane*21

Piotr Müldner-Nieckowski

Łukasz Nicpan: *Kawalerka
z witrażem* 24

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Jakby, Popatrz, Zawstydenie,
Żurawie organy 26

Anna Bańkowska

Wieczór autorski,
Kocie limeryki 29

Jolanta Cywińska

Jego kochanka.31

Igor Frender

rodzeństwo, do domu, wiadomoś-
ci, cmok, ku miłości, wolność33

Andrzej Książek

De Chirico, Magritte, Melancholia,
Śnienie, Korekta37

cd. na następnej stronie

Adam Wiesław Kulik

kim jesteśmy, dokąd idziemy;
mój czas; z Walta Whitmana 40

Gabriela Kurylewicz

W trupim cieniu covida, Ogarku
biegnij, Ogromne morze. 44

Jerzy Marciniak

Trzy wiersze 47

Piotr Müldner-Nieckowski

Żywica (2) 51

Alicja Patey-Grabowska

Bo czym człowiek jest,
W pół drogi. 54

Maria Jolanta Piasecka

Haiku 57

Krzysztof Rudziński

Oktostych nieśmiertelności, Wciąż
cicho się przechadzam, Piranesi . . . 58

Krzysztof Saturnin Schreyer

Cebula, Grudko materii, Modrzew
w Radziejowicach. 60

Olga Wójcik

Z inspiracji obrazem Johanna
Schmidtnera 62

Zbigniew Zbikowski

bez porównania, notatki z podróży
przez Wołyn 64

PROZA

Tamara Bołdak-Janowska

Zapiski 20. Porozmawiajmy
o czekaniu „na Bogusia” 66

Krzysztof Choiński

Dzwon na trwogę 1922 74

Anna Nasiłowska

Okruchy pamięci 82

Alicja Patey-Grabowska

Wehikuł czasu 88

Krzysztof Rudziński

Nadgryzanie Gryzonii 90

PRZEKŁADY

Konrad Sutarski

Éva Finta, Éva P. Maklári,
Simon Serfözö 93

Grzegorz Walczak

Biserka Goles Glasnović, Miroslav
Kirin, Tomislav Domović, Dražen
Katunarić. 96

Zbigniew Zbikowski

Olha Olchowa 101



Na okładce: Zbigniew Bieńkowski.
Fot. P. Müldner-Nieckowski, ok. 1990 r.



Fot. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Zbigniew Zbikowski

Spod różnych znaków

Tegoroczny werdykt Komitetu Noblowskiego przyznający literacki laur Jonowi Fosse mógł wzbudzić tu i tam szok i niedowierzanie. Nie przez to, że twórczość Norwega mogła zostać uznana za niewartą tej nagrody – tego argumentu nikt nie zechciał (nie śmiał?) podnieść. Nie przez to też, że nagrodzono kogoś kompletnie nieznanego – Fosse od dawna był wymieniany wśród „noblobili”, mimo że nie miał łatki literackiego celebryty jak paru innych z grona „żelaznych kandydatów”. Jeśli już, to z tego powodu, że literacki Nobel trafił do wierzącego, praktykującego katolika. Zestawiając bowiem w jeden zbiór poglądy i postawy laureatów tej nagrody z ostatnich lat – twórców religijnie indyferentnych, obojętnych, niekiedy otwarcie antyklerykalnych – można było podejrzewać, i nie brakowało takich głosów, że to już stały wektor, jakim kieruje się komitet nagrody. I oto masz – niespodzianka.

Wyróżniając Jona Fosse, Komitet Noblowski jakby chciał pokazać, że wartościowa literatura może powstawać (i powstaje) pod każdą szerokością ideową i światopoglądową, a metkowanie twórczości literackiej i samych literatów etykietami politycznymi, w konsekwencji zaś zaprzęganie ich do „walki o sprawę”, to praktyka zgubna i szkodliwa. Literatura bowiem, ta wolna, tworzona pod wpływem imperatywu wewnętrznego, to świadectwa różnych, przeróżnych dróg dochodzenia do prawdy – własnej, częściowej, mocno subiektywnej, ale zawsze dokładającej kolejny kamyk do wciąż niepełnego obrazu świata i człowieka w tym świecie zanurzonego. Jon Fosse, stąpający jedną z takich niełatwych i wyboistych dróg, został oczywiście nagrodzony nie za to, że jest, albo że stał się jakiś czas temu katolikiem (bo był ateistą), ale – jak głosi komunikat Komitetu – „za nowatorskie sztuki i prozę, które dają wyraz temu, co niewypowiedziane”.

Co to ma do nas? Do „Podglądu”? To przede wszystkim, że nasz „kwartalnik” (cudysłów, bo kwartał jako częstotliwość w ukazywaniu się obecnie traktować musimy z różnych przyczyn z przymrużeniem oka), odzwierciedlający różnorodność, wielonurtowość, jednym słowem pluralizm Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, także, niczym Komitet Noblowski – zachowując w tym porównaniu wszelkie proporcje – otwiera swe łamy dla wszystkich swoich członków spod różnych znaków i różnorodnych zapastrykań. Tak samo zresztą jak Oddział Warszawski SPP, dobierający książki i autorów wydawanej przez siebie Kolekcji Literackiej. Liczy się poziom literacki i różnorodność, a nie taka czy inna etykieta, co zresztą też niekiedy może budzić tu i ówdzie szok i niedowierzanie.

Ciekawej lektury.

Zbigniew Zbikowski



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Piotr Müldner-Nieckowski

Krzysztof Bielecki: *Zsunęła się z krzesła. Ciennik*

Ciennik zapewne jest odmianą dziennika wyciągniętego z cienia albo pisanego cieniami spraw i rzeczy, tworzonego niekoniecznie po kolei, nawet jeśli się zdarza porządek chronologiczny. Autor poświęca rzecz mamie, a właściwie Mamie (pisanej wielką literą), i niekoniecznie matce. Dlaczego tak? Bo również sobie. Rozpatrywaniem dobra, zła, tego, co jeszcze nieznanne. Znamy go jako autora i postać z poprzednich książek, które zawsze odstawały od innej literatury, jakiegokolwiek, zarówno stylem narracji, językiem, zasobami słownictwa, jak i przede wszystkim widzeniem świata. Może też właśnie widzeniem samego siebie, krytycznym i lirycznym, rozkołysanym i przewrotnym, ale tak realnym, że chwilami czujemy dotyk jego ręki, powiew jego oddechu i ubrania.

Tak, jest to rzecz o nim, ale filtrowanym przez rzecz o matce, z której się wziął i której, jak większość z nas, nie tylko nie może się wyprzeć, ale wręcz musi zwrócić ile się da, aby przetrwać na tym świecie. Bez niej nic się nie uda. A była trudna (była, bo już fizycznie nie żyje), i zarazem łatwa, nieodzowna (jest, trwa, ale niekoniecznie duchowo). Sprawa zaczyna się serią pytań, o kim i o czym mowa, ale na które możemy odpowiedzieć tylko oddając się lekturze. W pewnej chwili czytania wydaje się, że pisarz przenosi wszystko na inną planetę, żeby ani w opisie, ani w przeżywaniu go niczego nie uronić, ani nie zamazać, zamglić, zamaskować tym, co jest tu i teraz; nie zasłonić innymi matkami, kobietami, osobami, sprawami na pozór podobnymi. Tymczasem w książce „bohaterką” jest bardziej sama Ziemia i ziemia (np. ginący w niej i wędrujący do przeszłych rodziców jego mamy pierścionełk zaręczynowy). W opowieści przewijają się woda, niebo, żółtobławy trawy, winogrona, duża liczba detali, świadcząca o wielkości i nędzy naszego istnienia. Kosmos natomiast dopełnia resztę, jest swoistą konsekwencją i komentarzem losu Ziemi. Albo Ziemię i nasze życie wynosi (czasem w sensie dosłownym), albo Ziemię i nasze życie pogłębia. Pisarz w „Zsunęła się...” stara się kosmicznymi obrazami „eseizować”, „traktatować”.

W każdym zdaniu otrzymujemy coś nowego, zaskakującego, co każe, nie odrywając się od lektury, iść przez opowieść razem z autorem i domyślać się, kim się jest, tak jak on sam. Opowieść wie, gdzie od miejsca urodzenia aż

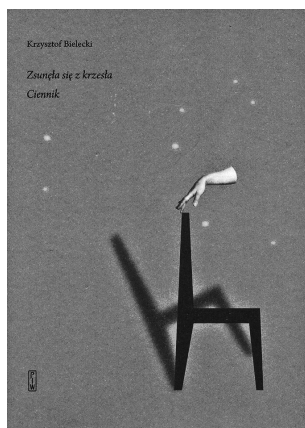
po kres życia matki, przez zdarzenia tyleż zwyczajne, co niesłychanie trudne. Zapewne każdy z nas znajdzie tu odpowiedniki swojego losu i inności, ale podawane i przez cały czas wywoływane w tak niespodziewany sposób, że nagle z żalem docieramy do zakończenia, gdy czytamy ostatnie zdania powieści. A zakończenia jednak nie ma...

Powieści? Trudno powiedzieć, jaki to gatunek prozy, pewnie po prostu *bielecki*. Trzeba to jakoś nazwać, bo w podręcznikach literaturoznawstwa nazwy gatunku tej prozy nie ma. To pisanie znajduje się w rozwarciu (niczym między dwoma palcami, środkowym i wskazującym, wysuniętymi z ręki zaciśniętej w pięść), w szparze między rozważaniami a odkrywaniem tajemnicy zdarzeń, poglądów i zachowań. Oto typowy dla tej książki akapit, który stawia czytelnika na znanym i jednocześnie dotychczas przez niego niezauważanym gruncie:

„Staw był prostokątny. Trumna mamy jest prostokątna. Mogła być inna, uszczypliwie zwana «skrzypcami», ale ten kształt nigdy się mamie nie podobał. Tak przynajmniej utrzymywał brat. Częściej rozmawiałem z mamą o czasie niż o przestrzeni. Bo przecież i staw, i trumna to przestrzeń. Przestrzeń zamknięta w kształcie. Od jakiegoś czasu domyślałam się szczęścia w kole. Ale kolista trumna nie byłaby mile widziana. Najpierw w kaplicy, potem w kościele, na koniec w grobie. Byłaby nieporęczna w tym absoluście koła. W tym ideale. Zatem prostokąt. Z lotu ptaka prostokąt. Na moją mamę stanowczo za duży, przesadnie przestrzenny, a mama nie lubiła przesady”.

Kim była mama i kim jest bohater tego utworu? Oto jest pytanie – dla czytających dobitnie.

Piotr Müldner-Nieckowski



Krzysztof Bielecki
Zsunęła się z krzesła. Ciennik
 Państwowy Instytut Wydawniczy
 Warszawa 2023
 Format ±A5
 Str. 232
 ISBN 978-83-8196-591-0

Łucja Dudzińska

O książce Igora Frendera *Idziemy, jest stromo*

Igor Frender (Wojciechowski) urodził się w 1974 roku w Poznaniu. Z wykształcenia animator społeczno-kulturalny, doktor nauk medycznych. Pracownik, nauczyciel na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu, gdzie napisał kilka artykułów naukowych do renomowanych specjalistycznych czasopism branżowych. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Grupy Literycznej Na Krechę. Z zamiłowania powieściopisarz, poeta, filmowiec amator.

Autor pierwszej polskiej powieści z nurtu Giallo pt. *Człowiek Jatka*, która ukazała się w warszawskim wydawnictwie CM w 2018 roku. Kolejne dwa kryminały *Mordercza proteza* z 2020 r. i *Upiór w masce* z 2022 r. również zostały wydane przez Wydawnictwo CM w serii Nowy polski kryminał. Do dwóch książek: *Człowiek Jatka* i *Mordercza proteza* wydawnictwo CM w porozumieniu z współwydawcą Lind & Co nagrało audiobooki w znakomitej interpretacji aktora i lektora Kamila Prubana. Nad trzecią książką trwają prace. Dwa kryminały zostały zrecenzowane na portalu Lubimyczytać.pl, a także na stronie <https://sztukater.pl/ksiazki/item/26821-czlowiek-jatka.html>. Fragmenty powyższych książek oraz audiobooków można znaleźć na stronie wydawcy. Igor Frender jest także autorem książki poetyckiej *Idziemy, jest stromo* (FONT, Poznań 2022). Od wielu lat jest aktywistą i promotorem kultury niezależnej. Jako założyciel i trzon formacji filmowej Pumex realizuje ekranizacje przygód swoich książkowych bohaterów.

Mieszka w Poznaniu.

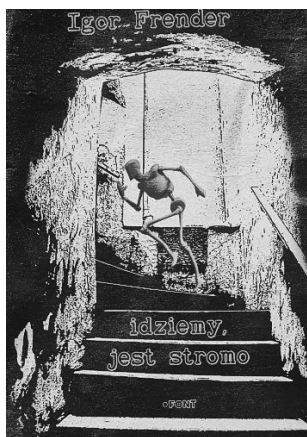
Wydął książki: *Człowiek Jatka*, wydawnictwo CM, Warszawa 2018, ebook i audiobook, Lind & Co, Warszawa 2020; *Mordercza proteza*, wydawnictwo CM, Warszawa 2020, oraz ebook i audiobook Lind & Co, Warszawa 2022; książka poetycka *Idziemy, jest stromo*, wydawnictwo FONT, Poznań 2022 (pod patronatem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich); *Upiór w masce*, wydawnictwo CM, Warszawa 2022.

W tomie *Idziemy, jest stromo* Igor Frender zaprasza do odbioru i już na wstępie przestrzega czytelnika, że nie będzie łatwo. W życiu po prostu zachowujemy się „jak tak, to tak” i trudno to komentować, więc najlepiej

zatrzymać się i „trzy kropki dalej” pomyśleć nad teatrem niedorzeczności, jakiego czasem jesteśmy udziałem albo obserwatorem. Debiut poetycki Igora Frendera (który jako prozaik ma w swoim dorobku dwie powieści kryminalne), jest bogaty w scenki sytuacyjne. Utwory umiejętnie podsycane ironią, kpina z ludzkich ułomności i przywar, pokazują nam symptomy poszukiwania tożsamości, trudy w podejmowaniu decyzji, a przede wszystkim przykłady społecznego ścierania się dobra i zła. Czytając wiersze, czujemy się wtajemniczeni, a nawet mamy wrażenie, że towarzyszymy autorowi na tym krętym, stromym szlaku, często w oparach alkoholowych, obserwując, co dzieje się dookoła i słuchając refleksji naszego przewodnika. Na pewno jest to zasługą sprawnej, sentencjonalnej narracji. Autor wprost atakuje zdecydowaną frazą, aby z poczuciem humoru obnażyć styl współczesnego życia.

Czytamy *Idziemy? ... będzie stromo!* Zapraszam na pasjonujący spacer wśród słów Igora Frendera.

Lucja Dudzińska



Igor Frender
Idziemy, jest stromo
 Wydawnictwo FONT
 Poznań 2022
 Str. 72
 Oprawa miękka ±A5
 ISBN 978-83-66183-31-5

Jerzy Binkowski

BÓG JAK NIC w każdym szczególe

O poezji Janusza Andrzejczaka

Mieszkam na skraju Puszczy Knyszyńskiej, a odwracam się do niej plecami. Bywa wilgotna, obślizgła i śmierdząca. Gdy deszcze rozpulchniają leśne dukty, ja znajduję argumenty, aby w puszcze się nie puszczać, a Janusz Andrzejczak łązi, wałęsa się, wacha, dotyka, rozpoznaje szczegóły i nazywa – robaka, roślinkę, głos ptaka... Zna las i puszcza go zna. Wpuścił ją głęboko w siebie. Puszcza zawładnęła nim. A ja czerpię z jego serca czułość wobec Bożego dzieła, którą odkrywa w pieśniach wiatru, pośród szumu liści osiki, brzozy czy dębu.

Pisałem kiedyś: *Jesteś mi potrzebny, Poeto, abym mógł choć trochę zaczerpnąć z twojego serca na temat Bożego świata skrywającego się w liściach i pieśniach wiatru. Twoje wsłuchiwanie się w puls serca sosny cudownie w niebo sięgającej, jest dla ciebie przeżyciem wstrząsającym. Las zapewnia Ci szeroką gamę drgnień i drzeń, a Ty jesteś jak poranna wiolonczela. Ty chcesz pomrukiwać jak szczęśliwa pszczoła, a jak szerszeń swym basem śpiewasz światu o trudach istnienia. Ty jesteś poezją leśną, prawda? Skąd ta obezwładniająca naturalnością – muzyka, poeto, Januszu Andrzejczak?*

Jest wielka tajemnica w Tobie, a ja krążę obok Ciebie od kilku lat zawstydzony twoją prostotą. To słowo szlachetne, jak Ty, w trudzie codziennego zabiegania o swoje miejsce w, powiedzmy szczerze, wrogiej Tobie cywilizacji. Świat dookoła jest pełen rozdygotanych i rozgadanych ludzi. U wielu osób spostrzegasz niemiłą cechę mówienia, które jest szybsze od myślenia. Wtedy ja Ciebie wspieram, gdy sugeruję współczucie: „Mam nadzieję, że oni dowiedzą się, co myślą, gdy usłyszą, co mówią”.

Debiutem poetyckim stała się książka *Takijeden* wydany przez Książnicę Podlaską (Białystok 2011). W tym miejscu pragnę przypomnieć, że wówczas dyrektorem Książnicy był poeta Jan Leończuk, przyjaciel i menedżer autorów, których rozpoznawał jako załączek przyszłych poetów.

Autor zbioru wierszy pt. *Takijeden* to człowiek o ogromnej wrażliwości. Potrafi widzieć i czuć zdecydowanie ponad przeciętną. Zauważa też więcej, bo patrzy na świat z ogromną miłością. Ważka, brzoza czy zwykłe

targowisko stają się tematem wiersza równie przejmującego, jak ten opowiadający o śmierci przyjaciół. Andrzejczak potrafi przekazać swoje emocje z taką ekspresją, że nie da się go czytać bez ich odwzajemnienia. Te wiersze nie tylko się czyta – je się słyszy, czuje, ich się dotyka. Mają konkretne kształty, barwy i zapachy. Mają dźwięk padającego deszczu, śpiewających ptaków, szumiących drzew. Malowane słowem, brzmiące, jak sonaty czy preludia.

A tak przywitała debiut Janusza Anna Dąbrowska-Zajda: Janusz Andrzejczak nie wstydzi się odniesień do poezji Leśmiana czy Staffa, świadomie podkreśla, że czerpie z najlepszych. Nie wysila się na pseudonowoczesną nowomowę, karkołomne wygibasy stylistyczne czy modne dziś tak bardzo brutalizmy czy wręcz wulgaryzmy. I Bogu dzięki! – chce się zakrzyknąć: wreszcie mamy poezję dla duszy i serca! Ten tomik nie będzie przeszkadzał na parapecie kuchennym, czy biurku, przy którym pracujemy. Przeciwnie, musi być „na podorędziu” żeby w każdej gorszej chwili można było uciec w ten piękniejszy, choć nie zawsze wesoły świat Janusza.

Łagodnia ukazała się w Wydawnictwie ARCANA (Kraków 2012).

Oto wiersz wieńczący tom, zatytułowany *Mgła*:

Z wąwozów parowów z puszczańskich rozpadlin
z tego co bez czasu z tego co czas nagli
więc z kamieni spod nich z samego ich środka
z kosmosu wodnych drobin z ich wzajemnych spotkań
z wilgoci co na płazie mrużącym pod liściem
z oddechu leśnej myszy która ani piśnie
z mroku nocy z burzy z poranka z wieczoru
z olsów z łęgów z puszczy z mieszanego boru
z bagna torfowiska i leśnego oczka
z menisku narтника w jeziornych zatoczkach
z mrówczych tras lęku sarn z lotu nietoperza
z zimy która kurczy co lato rozszerza
z przedmrozu przedburzy przedranka przednocy
z dziupli co raz ziewa raz woła pomocy
z miękkości przelotów motyli i ptaków
z mrówki co zdyszana stanęła na szlaku...
I jeszcze z puszczyka co się z echem psoci
z lasu z łąki z tchnienia i z kwiatu paproci...

*Powłóczyście bezdźwięcznie bez jawy i tła
snuje się ścieli kłębi i tumani – mgła...*

Łagodnia, znów w opinii Anny Dąbrowskiej-Zajdy, to (...) kolejny tomik poezji Janusza Andrzejczaka, zachwycający nie mniej niż poprzedni. Choć wiersze tak samo liryczne – prawdziwie – z treści i formy, w tym świecie ludzi namiastka. Królują leśne krajobrazy, czasem utkane mgłą, rozedrgane żurawim klangorem, a czasem zupełnie bajkowo miłosne – co ze słów autora nie trudno odgadnąć, bo on świat kocha, ba! On go potrafi zaczarować dla nas, żebyśmy i my mogli odnaleźć to wszystko, co ginie w rozgardiaszu codzienności. Janusz Andrzejczak nie wartościuje świata. Dzieli się z nami swym sercem przez słowa, które z każdego jego drgnienia nutką pastelową w literę się zmieniają. Takijeden był dla mnie jak zachłyśnięcie się zimną, źródlaną wodą, Łagodnia – to smakowanie potrawy przez Mistrza zgotowanej. Choć porównanie nieco trywialne i przyciężkawe dla tak delikatnej materii jak poezja, jednak nie zmienię go, bo doprawdy są dla duszy naszej wiersze Janusza strawą energetyzującą i smakowitą. Wydany przez Arcana tomik Łagodnia to doskonała odtrutka na codzienność, świetny przerywnik w męczącej podróży, uspokajacz do poduszki po trudnym dniu. Słowem, trzeba mieć go pod ręką, bo działa jak balsam, miód najszlachetniejszy, zaklinacz samotności. Daję słowo, wypraktykowałam w szpitalnej rzeczywistości!

Prześledźmy, jak kolejną książkę pt. *Ulotnia* (Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2013) komentowała zazwyczaj ostra i bezkompromisowa Ewa Morawiec:

W książce tej przegląda się sama istota jego poezji, filozofia autora, niezwykle język tych wierszy, czułość dla wszystkiego, co nas otacza. Andrzejczak, co tak dziś niemodne, jest wrażliwym łowcą natury, rozkochanym w lasach, jeziorach, przepaścistych niebach nadrzecznych. Jest też łowcą tego, co bezpowrotne i ulotne właśnie – samego życia, jego urody, ale i jego dramatów. Ta poezja tyleż jest horacjańska, co franciszkańska z ducha. Niezwykle bogata w zapomniane słowa języka, wyrasta także pięknym drzewostanem słów niepowtarzalnych, własnych...

Na temat poezji J. Andrzejczaka wdycha Anna Polony: *Urzeka mnie ciepłem, prostotą, miłością do świata i ludzi. Jest jak promień słońca w pochmurnym dniu.*

Natomiast Jan Leończuk pisze: *Wiersze Janusza Andrzejczaka osiadają w nas pięknem wytęsknionym. Jak motyle z nocy, wszak przywracają równowagę światu, pozwalają wierzyć, że czas nie prowadzi ku śmierci. Utonąć*

w zieloności przyrody, zatracić się w pięknie świata – odzyskując jego tętno wzruszenia – to droga do wieczności w zgodzie z rytmem ziemi i własnym sercem. Czyż więc można oczekiwać od Poety niż zrozumienia życia z jego codziennymi wertepami?

Leszek Długosz dodaje: *Zadziwiające! Wszystko niby znane, widziane? – A zobaczone jakby znów? Zobaczone aż tak?*

Zadziwiające! Oto kolejna książka: *Przedziwnia – Ballada o Genku*. (Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015). Na okładce znajduję charakterystykę autorstwa Przemysław Dakowicza:

U źródeł twórczości poetyckiej Janusza Andrzejczaka stoi czułość dla niezliczonych form widzialnego świata. Człowiek jest tu zanurzony w przyrodzie i przyrodę kontempluje. Poezja podejmuje próbę przełożenia jej niewysławialności na wyrazy ludzkiego języka, konfrontuje je z rzeczywistością kultury – obrazów, rytmów dźwięków. Niekiedy przez płynące harmonijnie frazy prześwieca trudna polska historia, niekiedy błyska metafizyczna zaduma, pytanie o sens ziemskich spraw i porządków. Janusz Andrzejczak jest, jak się zdaje, zwolennikiem literackiej tradycji – nie eksperymentuje nadmiernie (przejawia – za Leśmianem – wyraźną skłonność do neologizmu, semantycznej migotliwości, gry znaczeniami), sięga po sprawdzone wzorce literackie, po miary wierszowe chcące oddać niezbywalny rytm tego, co istnieje. Ceni najprostsze wzruszenia i aksjologiczną jednoznaczność.

A co pisze Wojciech Wencel?

Janusza Andrzejczaka wymyślił Bolesław Leśmian. To słynny „topielec zieleni”, który jakimś cudem ucieleśnił się i uduchowił w naszej ponurej epoce. Jest jednocześnie postacią literacką, późnym wnukiem autora Łąki i samorodnym poetą. Bo choć obficie czerpie z języka swego mistrza, to jego ballady i fraszki brzmią autentycznie i nie dają się zamknąć w słowie „stylizacja”. Andrzejczak nie kłamie. Naprawdę wędruje przez leśną głuszę i przysiadła nad Biebrzą. Zna wszystkie ptaki, trawy i drzewa, a one znają jego. Wytrwale buduje własny kosmos, w którym drogę wskazują przydrożne świętki, ślady polskiej historii i rodzinne tęsknoty. Czyli trzy cnoty teologiczne: wiara, nadzieja i miłość.

A potem ukazała się *Powłóczyństwo – drogami, bezdrożami Podlasia*, tom wydany przez Książnicę Podlaską (Białystok 2017). O poezji i autorze książki tak pisał Jarosław Ławski:

Ten melancholijny epik-liryk żyje i pisze jak rzeki i strumienie, wokół których krąży: płynie, zmierza, prze wartko ze strumieniem, by na końcu dostrzec scalającą wszystkie perspektywy nową, świeżą metaforę. Może nią

być mglista, mgłe podobna powłóczystość; może być rozlewistość – natury, życia, słowa, które rozplywają się w ostatecznej tajemnicy istnienia. Może nią być, a raczej chciałaby... – przejrzystość.

Ale doznanie pełnej przejrzystości istnienia, bytu, natury jest u Andrzejczaka przecztą pewnością. Jak sam powiada: świat tkwi w tajemnicy, a jej rdzeniem „nieodgadnienie” (...) Akt dotknięcia słowem „nieodgadnionego” bierze na siebie poeta. Nie czyni tego, kontemplując abstrakcyjną „naturę”, „jedno”, „pełnię”. Andrzejczak wkracza ze świetlistością wyobraźni wyczulonej na „Dobro i Piękno” w świat konkretności. Nie przypadkiem Jan Leończuk dostrzegł w liryce tej adorację Miejsca, Mitu (dzieciństwa, domu) i szczególną Wrażliwość zmysłową. Andrzejczak wkracza z tak ukształtowaną wyobraźnią w las, pole, rzekę: Puszcę jak najkonkretniej Białowieską lub Świsłocką, w przestrzenie Czarnej Hańczy, Suwalszczyzny, Podlasia.

Czas już, aby ukazała się kolejna książka. A jakże, pojawia się *Tajemnia*, (Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Warszawa 2020). O niej pisze Waldemar Żyszkiewicz w szkicu *Ballady leśnego perypatetyka*:

Zamiast parcia do iście katarynkowej regularności, co wcześniej, zwłaszcza w pierwszym zbiorze (Takijeden, 2011), poecie się zdarzało, mamy zaskoczenia, sympatyczne odkrycia, niespodzianki. Ale i coś więcej (...): całe to roślinno-zwierzęce uniwersum, jakie niemal bez reszty wypełnia wiersze Andrzejczaka, nie jest ani podmiotem opisu, ani finalnym celem jego artystycznej kreacji. Nie, te najrozmaitsze nazwy – znane, mniej znane albo źle rozumiane, jak np. „podszyt”, „olsy” czy „łęgi” – stanowią dla poety jedynie budulec, elementy swoistego imaginarium służącego do kreowania poetyckich ekwiwalentów uczuć: pustki, smętku, nostalgii... *Tajemnia*, zgodnie z tytułem, przynosi znacznie więcej refleksji egzystencjalnej w sztafazu roślinno-zwierzęcym niż opisów realnych sytuacji czy leśnych przygód. Odniesienia do systemu wartości, pytania o uprawnione kryteria oceny, uwagi o zakorzenieniu człowieka w świecie, o odniesieniu ludzkiego życia do przyrody, a przez przyrodę do Stwórcy. I jeszcze:

Janusz Andrzejczak jest obdarzony łatwością kreowania śpiewnej, potocznej frazy, płynącej naturalnie jak ludowa przyśpiewka, kuplet, ballada. Z przypadkowej obserwacji, z trzech słów i wewnętrznego żaru, rodzi się pod jego piórem opowieść: składna, dobrze brzmiąca, z trafiającym do czytelnika-słuchacza finałem. Raz emocjonalnym, raz bardziej refleksyjnym, skłaniającym do namysłu nad światem, nad ludzkim losem. Opowieść zwykle zanurzona w konkretności: językowo barwna, społecznie dosadna, mentalnie pobudzająca.

Waldemar Żyszkiewicz, jako jedyny dotychczas zwrócił uwagę na niezwykle dyskretną obecność wątków erotycznych:

(...) Autor Tajemni wie, że dopiero w połączeniu z miłością – zmysłowe pożądanie, erotyzm pozwala osiągnąć pełnię przeżycia, wspiąć się na szczyty człowieczeństwa, dostąpić prawdziwego spełnienia (...) Dlatego zwłaszcza pisząc o miłości, poeta pozostaje powściągliwy, nieco tajemniczy, dyskretny (...) Własne liryczne wyznania Andrzejczak wypowiada delikatnie, półgłosem, adresując je do kobiety: Żony, matki, Polski. Ale także do oswojonych przestrzeni poznanych podczas długoletniej włóczęgi... On przecież najlepiej wie, że bez tej bogatej w różne egzystencjalne odcienie miłości nie miałoby sensu ani jego pisanie, ani tym bardziej życie.

W ten sposób dotarłem do głównej i podstawowej przyczyny sporządzenia listy publikowanych komentarzy do kolejno ukazujących się książek, a jest nim fakt ukazania się najnowszego autorskiego wyboru wierszy z dorobku poety z Torunia. Przypomnę, wcześniej rzuciliśmy okiem na komentarze do kolejnych tytułów (w kolejności): *Takijeden*, *Łagodnia*, *Ulotnia*, *Przedziwnia – Ballada o Genku*, *Powłóczyństwo – drogami i bezdrożami Podlasia*, *Tajemnia*, a teraz będzie *Wędrownia*.

Książka *Wędrownia* – wiersze, poematy w wyborze autora – ukazała się z zaskakującą i niezwykle miłą notatką: „Wydrukowano staraniem oraz nakładem przyjaciół!” Wydawnictwo Test – Bernard Nowak (2022). Piękna edycja w twardej okładce o barwie leśnej zieleni. Oddają głos Aleksandrowi Nałaskowskiemu:

Janusz Andrzejczak jest poetą niszowym. Sam zresztą o tę niszowość dba. Niechętnie i prawie wcale nie jeździ na spotkani autorskie, nie tęskni do publiczności i wieczorów poetyckich, bo tak naprawdę nie wiadomo, kim jest.

Jego wiersze to zaskakujący, ale i zachwycający namysł nad światem natury, światem będącym bez wątpienia dziełem bożym, w którym Bóg objawia swoje łagodne oblicze, dalekie od tego, które ukazał mieszkańcom Sodomy i Gomory.

Andrzejczak nie atakuje słowami, nie szuka ścieżek ku rewolucji, nikogo nie agituje ani nie poucza. On się słowami skrada. Zupełnie jakby nie chciał spłoszyć napotkanej sarny, wiewiórki czy łosia. A gdy zabraknie mu słów, to wymyśla własne, bo taki jest przywilej poetów (...) Opasły tom wierszy Andrzejczaka (...) chce zaistnieć naprawdę, bo przekonuje, że są odważni wydawcy, którzy przerzucają wzrok ponad mamonę i sięgają nim pewnej idei. Idei poezji wiecznej, ponadczasowej, poezji niewdającej się w doraźne spory. Poezji osobnej tak samo, jak osobny jest jej autor. W swojej narracji

jest nieuchwytny. Nie jest ani podmiotem, ani przedmiotem swoich wierszy, bo raz jest mchem, raz brzozą, innym razem rzeką.

(...) Gdzieś tam, między człowiekiem a naturą, powstają wiersze, których niepospolita wręcz uroda każe przeczytać tom Wędrownia od początku do końca, od pierwszego do ostatniego wiersza, bo ta poezja wciąga tym, że naprawdę znaczy. Ta poezja to mapa miejsca, do którego zawsze możemy z obecnego życia zwać.

Jako autor pomysłu stworzenia zwartej antologii opinii o twórczości poetyckiej zaprezentowanej w siedmiu książkach poetyckich Janusza Andrzejczaka zapewniam, że lektura tych książek, ze szczególnym uwzględnieniem summy zaprezentowanej w *Wędrowni*, stanie się dla Czytelników źródłem przedziwnych doświadczeń jedności, łagodności, ulotności i tajemnej powłóczystości.

Jerzy Binkowski

Grzegorz Walczak

Kilka słów o spektaklu *Jentl* w Teatrze Żydowskim w Warszawie i o Aleksandrze Idkowskiej w roli głównej bohaterki spektaklu

Miałem przyjemność obejrzeć Aleksandrę Idkowską w głównej roli musicalu *Jentl* w Teatrze Żydowskim w Warszawie¹. Ta niezwykle uzdolniona wokalistka i pianistka jest w tej chwili studentką trzeciego roku Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie i już zdążyła zdobyć m.in. II nagrodę w finałowej edycji Ogólnopolskiego Festiwalu „Pamiętajmy o Osieckiej” (Poznań 2022) oraz I nagrodę w drugiej edycji Międzyuczelnianego Konkursu Musicalowego.

W polskim spektaklu (wyraźnie różniącym się od powszechnie znanej wersji filmowej z Barbarą Streisand), w reżyserii Roberta Talarczyka i z jego tekstami piosenek, z muzyką Hadriana F. Tabęckiego, oglądaliśmy świat pieczołowicie skonstruowany, choć w musicalowo skrótowym ujęciu – chwilami może nawet za mało skrótowym – świat tradycyjnej kultury żydowskiej. Jest to świat Singerowskiej prozy, dla przeciętnego polskiego odbiorcy kolorowy, specyficzny, niecodzienny, ale ciekawy, bo oryginalny z mnóstwem charakterystycznych obyczajów, rytuałów, strojów, mającymi swoje znaczenia, które dla wierzącego i praktykującego Żyda są oczywiste, nieodłączne i konieczne, jak Tora.

Jentl pała pragnieniem zgłębienia ukrytych w niej idei, całej jej mądrości. Nie zamierza być rewolucjonistką, ale pod pewnym względem się nią staje. Przeciwstawia się, i to w absolutnie zdecydowany sposób, panującej tradycji ortodoksyjnej, w której rola kobiet jest społecznie zbyt ograniczona, a odwieczna ich dyskryminacja uniemożliwia dziewczynie studiowanie Tory, dochodzenie przez poznanie do prawdy. Dlatego ta pełna animuszu

¹ *Jentl* Isaaka Bashevisa Singera i Leah Napolin (na podstawie opowiadania I.B. Singera), tłumaczenie Remigiusz Grzela, reżyseria i teksty piosenek Robert Talarczyk, muzyka Hadrian Filip Tabęcki, scenografia i kostiumy Katarzyna Borkowska, choreografia Jakub Lewandowski. Teatr Żydowski w Warszawie.

„buntownicza”, pałająca żądzą wiedzy niedostępnej dla kobiet, musi się przedzierzgnąć w chłopaka. I Ola Idkowska staje się na scenie chłopakiem, choć pełnym ukrytego wdzięku. Tego nie da się z siebie wyrzucić. Ale to właśnie daje spotęgowanie pozytywnego wrażenia, jeszcze bardziej przyciąża widza do bohatera/bohaterki sztuki.

Aktorska wyrazistość Aleksandry Idkowskiej i ów magnetyzm wdzięku, a przy tym pełnia umiejętności wokalnych sprawiają, że nie odczuwa się nawet w pewnych sekwencjach spowolnionego tempa akcji, wynikającego z pozytywnych skądinąd skłonności twórców spektaklu do wierności autentyzmowi budowanego modelu świata, bardzo wyraźnie i szczegółowo zakorzenionego w charakterystycznej, tradycyjnej rodzajowości. Świat przedstawiony przez Roberta Talarczyka, wydobyty oczywiście z wyobraźni wybitnego amerykańskiego pisarza żydowskiego pochodzenia, noblisty, Isaaka Bashevisa Singera, jest kolorowy, estetycznie intensywny, kostiumowo bogaty, tworząc całość logicznie zasadną, jak zresztą cała scenografia i warstwa fabularna. Zrównoważone są w spektaklu fragmentami wokalnymi momenty uspokojenia – tego, co można by potraktować jako spowolnienie akcji wobec sytuacji dramatycznego wzmożenia.

I jeszcze jedno: trudno porównywać znany muzyczny klasyk filmowy *Jentl* z propozycją teatralnego przedstawienia, które się rządzi zupełnie innymi prawami. Teatr wnosi zawsze większą umowność oglądanego obrazu, pewien skrót wyobrażeniowy, skondensowany na mniejszej i też bardziej symbolicznej przestrzeni, niż jest to w filmie, zazwyczaj skazanym na bardziej dosłowny i szczegółowy przekaz fragmentu rzeczywistości.

Muzyka w warszawskim spektaklu jest też całkiem inna niż w filmie, zresztą w moim przekonaniu bardzo ciekawa, całości spektaklu nadająca właściwego charakteru, a także w odpowiednich momentach podbijająca dramaturgię sytuacyjną. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że jak na mój gust, proporcje scen dialogowych: mówionych i muzycznych – wokalnych, rozszerzyłbym na korzyść tych drugich. Chciałbym jeszcze więcej muzyki Tabęckiego, jeszcze więcej partii śpiewanych w sztuce musicalowej, przy jednoczesnym ograniczeniu narracji pozamuzycznych. Może to jednak zbyt subiektywne widzenie. Jedną z zasadniczych dla mnie zalet spektaklu jest zwrócenie się twórców tego *muzycznego* spektaklu w kierunku źródła głębszego niż to zazwyczaj bywa przy musicalowych wyborach – do prawdziwej literatury, która nie tylko w swym oryginale stanowi klasę światową (choć nie musi to być zaraz literatura noblisty), ale która podejmuje rzeczywiste, znaczące problemy, a nie operuje typowym miałkim,

banalnym tematem, jak większość niewybitnych musicali czy starodawnych operetek. I za to też chwała reżyserowi i dyrekcji Teatru.

W konkluzji: cały spektakl, jak i Jentl Idkowskiej, są warte grzechu, za popełnienie którego czai się gdzieś u powały bicz kary – niczym plagi zawieszono nad Sodomą i Gomorą. Ja bym jednak zaryzykował. Dla smaków dobrej sztuki warto się narażać wszelkim bogom.

Grzegorz Walczak

Piotr Müldner-Nieckowski

Grzegorz Filip: *Iluminacja*

Kilka lat temu miałem zaszczyt rekomendować powieść Grzegorza Filipa *Miłość pod koniec świata*, rzecz o miłości, ale nie romansową, tylko analityczną, a potem w księgarniach jeszcze były inne utwory tego pisarza – zawsze o czymś, to znaczy nie tylko do czytania, ale i myślenia, odczuwania, analizowania ze względu na etykę (nie mylić z moralnością i obyczajnością), która zawsze gdzieś z tyłu, w cieniu akcji i dramatu, czuwała nad – że ujmę to górnolotnie – ludzkimi czynami. Tak, u Filipa przeważnie mamy do czynienia, jak słusznie zauważa Wacław Holewiński, z walką z zapominaniem, ze sprzeciwem wobec życia jedynie chwilą, ale za każdym razem w nowej, uwspółcześnionej i atrakcyjnej formie. I nie tylko z tym. Rzuca się w oczy „praca nad zatrzymywaniem czasu”, bo myślę, że to jest nawet dla autora ważniejsze niż „pamiętanie”. Dzięki temu pojawia się też odautorskie (ale nienachalne) angażowanie czytelnika jako psychologa, wspomaganie go w tej amatorskiej pracy przez wspomnianą wyżej etykę, która nie jest tu drogowskazem (mechanizmem umoralniającym), ale metodą badania zachowań i myśli bohaterów. To odbiorcy powinno dawać przyjemność; ma prawo czuć się nie tylko obserwatorem akcji prozy, ale i jej uczestnikiem. Na tym polega atrakcyjność pomieszczonych w *Iluminacji* opowiadań.

Takiej prozy w naszych księgarniach jest teraz bardzo mało. Dawni chętni czytelnicy jakby znikli, a wielu odzwyczaiło się od czytania i twierdzą, że proza (nie mówiąc już o poezji) nagle stała się trudna. Ba, zdarzają się niemądrzy krytycy, którzy powtarzają te opinie. Proza bowiem, nadal wysokoartystyczna, stała się przecież dużo łatwiejsza niż w czasach Żeromskiego czy Kaden-Bandrowskiego.

Wydaje się, że jest więc odwrotnie, że to nie dzisiejsza proza utrudnia czytanie, ale niektórzy czytelnicy przestali uważać myślenie za rozrywkę. Grzegorz Filip pokazuje, jak wciągać czytelnika do śledzenia działań bohaterów, jak i go ustawiać choćby wobec zagadek dekalogu i szczegółów codzienności. Tak, tajemnic DEKALOGU, to nie pomyłka ani zamach na religię. Dekalog przecież nigdy nie był ani w pełni jednoznaczny, ani wyczerpująco prawodawczy, a w konfliktach pewnego typu bywał i bywa nawet tajemniczo bezradny, zwłaszcza wtedy, gdy każdy wybór sposobu

rozwiązania danego problemu obciąża człowieka jakimś rodzajem zła, kiedy nie ma rozstrzygnięć moralnie czystych.

Recenzenckie dociekania zapewne są tu dla autora niespecjalnie interesujące, bo ten wie przecież swoje, ale czytelników można zapewnić, że właśnie dzięki wprowadzaniu organizującego utwór czynnika etycznego, nie zawsze nazywanego czy ukazwanego dosłownie, czasem zręcznie ukrytego i wspartego rzetelną psychologią, a nawet filozofią, utwory zawarte w tomie *Iluminacja* uzyskują dodatkowy napęd, nie tylko ten wynikający z fabularnego działania się.

Można to postrzegać nawet metaforycznie, jak w opowiadaniu *Teoria strun*, w którym życie ludzkie okazuje się podlegać drgającym mikropowiązaniom mikrofaktów, których istnienia tylko się domyślamy, a które mają potężny wpływ na makrofakty, zgodnie z tytułową teorią i z wolą Twórcy bytu. Każde z dwunastu opowiadań, choć zasadniczo inne, zawiera napięcie o podobnej mocy, aby w ostatnim, tytułowym (*Iluminacja*, która boleśnie oświeśla bynajmniej nie słodką prawdę) zmusić czytelnika do wykonania głębokiego wdechu, choć po drodze, poczynawszy do przystanku numer jeden, też już mogły się przytrafić solidne przeżycia. Niekiedy potrzeba panowania nad nadmiarem wrażeń zmuszała autora do użycia narracji w pierwszej osobie, ale przeważnie mógł być mniej skrępowany, za to wszechwiedzący, zaglądający do dusz bohaterów jak do swojej.

Pisarz zebrał w tomie opowiadania napisane przed kilkunastu laty; jeśli dobrze pamiętam, to wcześniej gdzieś już czytałem opowiadanie pierwsze i ostatnie. Może dobrze się stało, że pozostałe poczekały, aż sam autor się do nich przekona.

Piotr Müldner-Nieckowski



Grzegorz Filip

Iluminacja

Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki
Publicznej i Centrum Animacji Kultury
Poznań 2023

Oprawa miękka ±A5

Str. 254

ISBN 978-83-66453-98-2

Piotr Müldner-Nieckowski

Bohdan Wrocławski: Wiersze wybrane

Potężna księga poetycka, dokładnie taka, jakiej można było się spodziewać po autorze istniejącym w kulturze od 1963 roku, zatem przez równo 60 lat. Jubileuszowa? Trochę tak, a trochę wydana z obowiązku, aby jej zawartość nie przepadła w zakurzonych archiwach czasopism.

Autor licznych tomów wierszy, także opowiadań, jak również pojedynczych utworów z szyldem „Wrocławski”, które widzimy w tygodnikach czy Internecie (od samego początku istnienia tej instytucji). Z nieznanym, niezrozumiałym powodem poetę tego leniwi literaturoznawcy chętnie pomijają, ignorują, odpychają, a przecież jest on w środowisku literackim postacią więcej niż znaną, bo cenioną i uważaną nie tylko za twórcę: poetę, autora sztuk dramatycznych, tekstów kabaretowych, utworów dla dzieci, piosenek, ale za równie wybitnego animatora kultury, w tym założyciela i głównodowodzącego dwutygodnika internetowego *Pisarze.pl*.

Co więcej, jego wiersze czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem, od niektórych nie sposób się oderwać, zapadają w pamięć, tkwią w niej latami. Są bardzo charakterystyczne. Dość długie, przeważnie przekraczają objętością jedną stronę, pisane z lekka rozciąglą frazą, która jak w dawnych poematach epickich, niezauważenie przechodzi z poetyki do narracji i z powrotem, nie szczędząc odkrywczych, jasnych metafor, skojarzeń, wypowiedzi, bywa, że interlokucyjnych niczym w dialogu, ale nierzadko w zawoalowany sposób intertekstualnych, nawiązujących do dzieł i wypowiedzi lub idei znanych i mniej znanych, ale cudzych, pod warunkiem że ważnych.

Erudycyjność tej literatury jest niewątpliwa, ale nie przytłaczająca. Warsztat literacki Wrocławskiego pozwala najtrudniejsze frazy przedstawiać w kontekstach objaśniających w taki sposób, że nawet czytelnik niedorastający wiedzą czy umiejętnościami radzi sobie z odbiorem opowieści poetyckiej. Tak, to dobre określenie: wiersze, małe i większe poematy są właśnie opowieściami poetyckimi. Krytycy (wyćwiczeni w odczycie i rozumieniu wierszy z końca XX wieku, komunikatów poetyckich, przeważnie krótkich, lirycznych, skupionych na samozachwytach albo wyznaniach rozpaczy, zbanalizowanych autotragediach niezliczonych twórców

powielaczowych) w ostatnim półwieczu nabrali zbiorowego przekonania, że epika w poezji nie istnieje albo jest przestarzała, lub po prostu nudna, albo – co zdumiewające – niepoetycka. Tak, epika za taką ostatnio uchodzi, a to miłośników poezji bulwersuje. Dlaczego nie krytyków? Może dlatego, że są tolerowani bez sprzeciwu, ponieważ jest ich bardzo mało; a więc są w cenie i sami znajdują się poza krytyką?

Tacy badacze literatury potrafią z ogromną łatwością prześlizgiwać się nad tekstami poetyckimi dłuższymi niż jedna strona druku (przechodzącymi na następną stronę), zapewne dlatego że dla ich pełnego, głębokiego odczytania trzeba zawracać i nawracać, doczytywać treści schowane, streszczone, skondensowane, ujęte metaforycznie lub zakamuflowane.

Poezja, zwłaszcza w wydaniu Wrocławskiego, to nie piosenki z założonym przez tekściarza ułatwieniami dla słuchacza, totalną banalizacją treści i głupawym przekraczaniem dopuszczalnych norm rytmizacji, zgrzytliwego „brzmieniowania” i kulawego rymowania. Zwłaszcza poezja wymagająca, epika spleciona w jednym uścisku z liryką – tak trudna w pisaniu i (pewnie dzięki dużemu wkładowi pracy) łatwa w czytaniu jak u Wrocławskiego.

Poeta stawia jednak wymagania większe niż tylko odczytywanie. Te teksty trzeba rozumieć i przeżywać, a więc odbierać z zaufaniem i zarazem skupieniem. Wśród niemal 170 utworów zawartych w tym tomie są tak różne tematycznie i znaczeniowo, jak różnią się swym sensem powieści u doświadczonego prozaika. Każdy poemat w jakiś sposób żyje własnym życiem i gdyby nie konieczność ekonomiczna i techniczna, należałoby je wszystkie wydawać w osobnych książeczkach. Czasem jest to analiza poetycka wydarzeń w starożytności, czasem na dzisiejszej ulicy albo w odległym od Europy pałacu, a zawsze tu i teraz. Paradoks? Nie, to *tylko* rozległość wiedzy i wyobraźni Bohdana Wrocławskiego.

Za każdym razem coś zaskakującego... To niekiedy poetyckie eseje, które starają się zamykać swój temat w jakiejś własnej skończonej encyklopedii wiedzy i uczuć, w scalającej geometrii, w jakimś własnym wielokącie. Polecam jako przykład „niemal-całoksiążkowej-figury” wiersz „Dziewczynka”, niezwykle (jak większość pozostałych utworów w tomie), chwytający za gardło:

*Budzi cię zimno przytulasz dłonie do policzków
słyszysz
jak przez cienkie ścianki tyka słoneczny zegar
krwi*

[tu trzy strony potężnej wypowiedzi..., po czym zakończenie:]

rozmawiasz z motorniczym o pogodzie polityce

*i małej dziewczynce
którą ktoś znalazł*

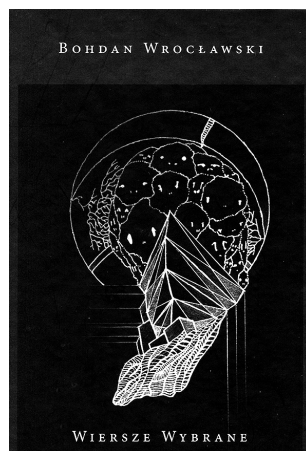
na opuszczonym śmietniku

między niebem i szlochającą z rozpacz y ziemią

Książka fascynująca. Kto ją zdobędzie, będzie z wzajemnością też zdobyty – przez poetę Wrocławskiego. Właśnie mija 60 lat od jego debiutu.

Piotr Müldner-Nieckowski

Bohdan Wrocławski
Wiersze wybrane
Wydawnictwo Pisarze.pl
Warszawa 2022
Str. 322
Oprawa twarda B5
ISBN 978-83-63143-86-2



Piotr Müldner-Nieckowski

Łukasz Nicpan: *Kawalerka z witrażem*

Niedawno, po wielu latach milczenia, Łukasz Nicpan, którego pamiętam jako kolegę z Koła Młodych w dawnym Związku Literatów Polskich (lata 70.), poetę i redaktora dwutygodnika „Nowe Książki” (do 1981 r., kiedy komuna negatywnie go zweryfikowała), potem tłumacza – wreszcie w dwudziestym pierwszym wieku zaskoczył nas prozą, opowiadaniem pt. *Fajerwerki nad otuliną* (PIW 2020), które przykuwają uwagę zarówno stylem, jak i treścią. I oto ukazuje się jakby dalszy ciąg tak zaczętego cyklu, pod tytułem *Kawalerka z witrażem*. To trochę inne utwory, lecz jeszcze lepsze, pisane przejrzystym i bogatszym językiem, trafnym, układanym w brzmienia takie, jakby już na papierze głośno opowiadały niczym ustami doskonale przygotowanego aktora.

Autor ma rzadką umiejętność komponowania tekstu, który korzysta z formy książkowej tylko jako chwilowego pośrednika, aby czytelnik nie musiał wkładać żadnego wysiłku w odbiór utworów. Te bowiem z zapisu drukowego przechodzą do umysłu w sposób niezauważalny. Nie znajduję innej formuły, aby opisać, na czym polega natychmiastowe przystosowywanie się czytającego do tekstu w tej książce. Sprawdziłem to na kilku osobach, wszystkie potwierdzają tę obserwację.

Czuje się przygotowanie poetyckie autora, ale w prozie często unika on metafory na korzyść mistrzowskiego tworzenia kompozycji słownych (kolokacji), które nie tylko niosą osobliwe i zarazem jasne, zrozumiałe znaczenia, ale dodatkowo ułatwiają odbiór przez swoją nowość (ta proza z góry nastawia odbiorcę na pewien styl obcowania z dziełem). Z talentem buduje narracje i dialogi tak, że niezauważalnie nastrajają klimaty i emocje. Przede wszystkim zaś doskonale operuje treścią, tak że co chwila jesteśmy zaskakiwani a to ciekawą obserwacją, a to niespodziewanym skojarzeniem, przecież naturalnym, lecz jednak odkrywczym (w danej sytuacji), przedstawiającym świat nam pozornie dobrze znany, ale tak naprawdę dopiero tu odkrywany, a przez to nowy; obcy, lecz dający się natychmiast ośwoić. Jest to książka pozornie wspomnieniowa, ale pokazująca, jak w rzeczywistości niewiele się w ciągu minionego półwiecza zmieniło. Inne są rzeczy, inny jest sztafaż, przybyło trochę jakichś komórek i laptopów (co wiemy, bo

sami się nimi posługujemy), dziwnych poglądów i pomysłów, ale człowiek, ten wciąż słabo poznany, nadal jest ten sam i nadaje się do analiz. Z tymi samymi problemami filozofii naukowej i codziennej, emocjami górnymi i chmurnymi, i zwyczajnymi:

„Tramwaj, którym jeździłem do liceum, wjeżdżał na plac od zachodu i od razu zaczynał zgrzytać, rdzawo piszczeć i gwizdać na łukach wąskich szyn. Ten zgrzyt, jak zardzewiałym sierpem po szybie, do dzisiaj pieści mi uszy. Ta muzyka konkretna, stalowa, jest hymnem mojej wolności”.

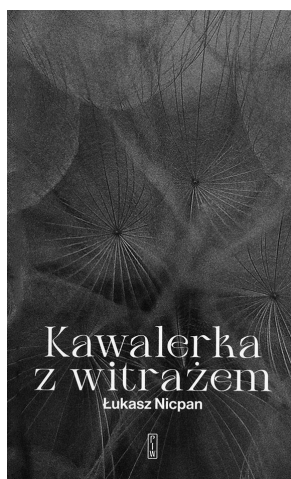
Aby tworzyć taką prozę, trzeba dostrzegać paradoksy, które tym rządzą, zastanawiać się, jak było i jak jest, co się z nami działo, jak się to kształtowało i jakie są skutki teraz, kiedy musimy sobie z tyloma pozornie nowymi sprawami na nowo radzić. Dawne rzeczy znikły, znikli też niektórzy ważni ludzie, ale pozostaje nasza pamięć. Jest też papier, który, jeśli rzeczy mają wartość, przyjmie to, zachowa dla następnych i im (też nam) przekaże.

Opowiadania Łukasza Nicpana, krótkie, zwarte, zawsze dobitne, zmuszające do zastanowienia i przeżycia (odszukania odpowiedzi w sobie, w czytelniczej wrażliwości), są zachwycające.

Biegnij do księgarni albo odszukaj w Internecie – i miej tę książkę tylko dla siebie.

Piotr Müldner-Nieckowski

Łukasz Nicpan
Kawalerka z witrażem
 Państwowy Instytut Wydawniczy
 Warszawa 2022
 Oprawa twarda A5
 Str. 320
 ISBN 978-83-8196-570-5



Janusz Andrzejczak

Jakby

Czemu, dlaczego tak?
Odpowiedz.

Ledwo rozdmuchały się mniszki
już głóg zakwitł
czeremcha żarnowiec
ptaki rozgadane
każdy w swoim narzeczu
jeszcze wczoraj ranem
pod dzisiejszy wieczór
i cała ta wiosna
splątana
kolorową nicią
jakby ktoś kosą,
jakby kosą wyciął.

Popatrz

Szedł leśnymi duktami
i nóg prawie nie czuł
a tu droga bez końca
już się zbliżał wieczór

Zapalono sosen
żywiczne łuczywa
aż gasząc, ktoś je
w nocy porozpływał

Ciemność się rozeszła
po wszechlasu stronach
gdy nagle chatynka
bidulka skurczona

Uchylone drzwiczki
okna wpółotwarte
na przyzbie leżących
kilka białych kartek

Podszedł, podniósł jedną
półgłosem przeczytał:

Kto tu kiedyś zajdzie
tego z serca witam
Nigdy mnie nie było
i nigdy nie będzie
rozejrzyj się
jestem
tak nigdzie

Na bierwiona popatrz
na próchno, na wióry
mądrze popatrz na nie.

Jestem wierszem, który
nigdy nie powstanie

Zawstydzenie

Dotykam cię brzozo dziewicza
opuszków pieszczotą,
biel twoją
pocałunkiem muskam.

Z zawstydzenia,
spada szyszki łuska...

To świerk się uprasza
szorstką korą, sękiem,
o moje wielkie gesty,
o serce maleńkie.

Żurawie organy

Głos jakiś w lewej,
może prawej nawie...?
A później cisza.
I nagle
żurawie!

Ich zew rozlega,
a za chwile dławi.
Wnet dzwon już pełen,
już pełen
żurawi!

I znowu cisza.
I znów się powtarza.
Zza ambony, kolumn...
Nagle
zza ołtarza!

Ze swoim echem,
z toccatą i pieśnią.
Oto TEN,
przed którym cichną.
I milczą.
I nie śmiał.

Brzmi żurawia fuga

Żurawie organy
W najmniejszym z domków
Eucharystia

Janusz Andrzejczak

Anna Bańkowska

Wieczór autorski

W grudniowy wieczór mam mówić
o wierszach do pustej sali.
Jest tam kto? Halo! Słyszycie?
Nie takiej czekałam gali.
Czerwone światełko kamery
Mruga zachęcająco.
Z żywych jest przyjaciółka
Prezes i prowadząca.
Lecz co to? Nagle na krzesłach
Pojawia się komplet duchów –
Przyjaciół z tamtego świata –
I każdy nastawia uszu.
Ci zawsze są niezawodni.
Ci nigdy nie zachorują.
Tym nigdy niestraszne są korki,
Tym planów nic nie popsuje.
Przychodzą chętni, radośni
I korzystają z okazji,
By jeszcze raz na tym świecie
Posłuchać dobrej poezji.
Dobrze was widzieć, kochani!
Dziękuję za liczne przybycie!
Szkoda, że na tak krótko...
Cóż, takie to już życie.

Kocie limeryki

Żył raz kot w ziemi judzkiej w Betlejem,
Co był nudny jak flaki z olejem.
Kręcił się po stajence
I naprzykrzał Panience,
Aż do żłóbka wlaźł i Dziecko grzeje.

* * *

Kot Odysa z greckiej wyspy Itaki
Strasznie wszystkim się dawał we znaki.
Kiedyś Odys niebożę
Uciekł przed nim na morze,
Kot zaś krokiem się nie ruszył z Itaki.

* * *

Pewne koty z ulicy Wokalnejskiej
Nagle stały się zbyt pryncypialne.
I chcąc dać odpór srokom,
Mierzyły zbyt wysoko
Więc już nie ma kotów na Wokalnejskiej.

* * *

Był jeden kot z Ursynowa,
Który często się jękał w pół słowa.
Nie mógł zostać aktorem,
Więc czasami wieczorem
Żali się na dachach Ursynowa.

* * *

Eleganckie kotki z miasta Psiczki
Zapagnęły mieć plisowane spódniczki.
Dotąd wszystkich męczyły,
Aż je sobie sprawiły,
Teraz wszystkie zazdroszczą im psiczki.

Anna Bańkowska

Jolanta Cywińska

Jego kochanka

(czyli o miłości niedoskonalej)

On miał żonę.
I każdego ranka patrzył,
jak w bawełnianej, nocnej koszuli
wytacza się z małżeńskiego łóża.
Jak drepcząc do kuchni,
wyplata z włosów różowe wałki.
Potem robi kanapki,
pokrzykując na wszystkich i wszystko.
I od niego ciągle czegoś chce,
zadręczając go swoją kobiecością.
I zwietrzałym seksapilem.

Jego żona miała rywalkę – jego kochankę,
w jedwabnej koszulce ozdobionej koronkami.
Kochanka chciała go zdobyć dla siebie.
A była piękna, oj, piękna.
Taka zgrabna, taka wcięta w talii.
Zadbana, począwszy od długich włosów,
a skończywszy na paznokciach u długich nóg.
Cudownie pachniała perfumami.
Przyjemnie było na nią patrzeć.
A jak go dobrze rozumiała,
jaka była przymilna.
Jedyna mądra kobieta
w oceanie kobiet mało rozsądnych.
Czasami lubiła mówić różne złe rzeczy o jego żonie.
On się z tym zgadzał,
żona miała wady.
Liczne – jak to żona.
Lecz nieraz wspominał mimochodem,
że z żoną, dawno temu,

też znakomicie się rozumieli.
 Byli wtedy tylko parą narzeczonych.
 Struchlał, gdy sobie o tym przypomniał
 i spojrzął na kochankę z przerażeniem.
 Ale ona wzięła ten wzrok
 za wyraz dzięki namiętności.
 I dalej odprawiała nad nim kobiece misteria.
 Chciała zostać jego żoną, w miejsce tamtej.

Lecz on jej uciekał, rozpływał się, odchodził.
 Aż zniknął zupełnie z horyzontu miłości.
 Nie miał chęci zamienić koloru wałków do włosów na inny.
 Długo to trwało i było wyniszczające.
 Aż w końcu, po dręczącej walce z samym sobą,
 zaproponował kochance małżeństwo
 ze swoją żoną.

Jolanta Cywińska

Igor Frender

rodzeństwo

pozytyw
tak do negatywu
jest podobny

jak ty do mnie

chodzić się uczę
a ty już jeździsz na rowerze
ja ledwo mówię
a ty już płynnie czytasz

rower i książki dostanę od ciebie
teraz oboje siedzimy w szafie

mamy takie same dłonie
dołeczki w policzkach
słyszemy kroki

czy ktoś nas szuka?

do domu

od klucza do domu
trzeba zacząć
nie od naciskania klamki
także nie od dzwonka

szukam po kieszeniach płaszcza
pod żarówką cienia
nad podłogą kroków

nigdzie go nie ma
w koszuli w spodniach
na ścianach też pusto
tylko lustro
widmo powracającego człowieka

na schodach mętna cisza
w kącie stoi zakurzone
moje świadectwo wyrzeczeń

człowieku
nigdy nie było żadnego klucza

wiadomości

podeptany butem na podłodze leży telefon
krew iskrzy się na parapecie
strumieniem pełnym informacji
wsiąka w wykładzinę

siedzę wygodnie w fotelu
nic nie czuję
ani szczypty żalu
piję czerwone wino z metalowego kielicha

na płocie czarny kot pręży grzbiet
wlaź kotek na płotek
i nie zamrugął
chudy księżyc niknie za płowymi chmurami
już prosi śnieg
czarny kot zmierza w stronę domu
pies unosi łeb

będzie wojna

cmok

nie pierwszy raz
cynizm zapukał do głowy
i doprowadził do łez

ale była też obok nas
radość
która cmoknęła go w czółko
z pasją otworzyła nowe drzwi
– jesteśmy

obok też ktoś puka

ku miłości

na policzku rumieniec
duże oczy i wiśniowe usta
siedzisz w fotelu z otwartą książką
ja przy stole piszę wiersz

trochę mi nie idzie
o twojej urodzie nie potrafię napisać

lecz dokładnie widzę że przy tobie
słowo znaczy słowo
wiara staje się faktem
i niech istnieje niech pozostanie
ta niezachwiana

i stabilna postawa przedmiotu
na którym siedzisz
ta nieskończona chwila
– pstryk

wolność

w codziennym życiu
w ogóle nie zabiera głosu
jest cicha
jakby nieobecna

w zimie krąży w okolicach kaloryfera
latem w ogrodzie pod lipą
drzemie na drewnianej ławce

często ją widzę
dużo czyta
jest dla człowieka

i co dziwne
to człowiek ją odbiera drugiemu człowiekowi

ale są też tacy
którzy nawet nie wiedzą
że ona istnieje
– wolność kocha jak się ją czyta

Igor Frender

Andrzej Ksiązek

De Chirico

Porzućcie zdziwienia złudzenia
rozczarowania.

Życie
bez jakiegokolwiek względu
na cokolwiek.

Tak jakby nic się nie stało
w tej chwili.

I chwilę później.

Jakby wszystko dookoła
stało w miejscu.

Krajobrazy które mijamy autem
nie ulegają zmianom w czasie i
przestrzeni.

Magritte

To nie tak jakbyśmy chcieli lub
wyobrażali sobie.

Postęp nie postępuje
naprzód.

Wiara nie jest już tą wiarą
co z czasów wiedzy i oświecenia.

Wiedza nie jest pełna i pewna
swej wiary w moc przeistoczenia.

Wątpienie wdarło się siłą.

Opanowało dotąd dziewicze
tereny.

Żyliśmy ponad stan nam dany.

Pierwotnie.

Nad poziomem morza.

Fale uderzały o brzeg

żłobiąc sobie miejsce
w skale.

Melancholia

Życie bez łagodzących okoliczności.
Bez względu na cokolwiek.
Bezwzględne do bólu
istnienia
który się odczuwa wraz
z codziennymi czynnościami
np. krojeniem chleba
i kilku innych gestów
tak bardzo przypominających dni
upalnego lata
pełne nieugaszonego
pragnienia.

Śnienie

Śmierć do snu jest podobna
tak jak wieczność do teraźniejszości
wiecznie trwającej.
Nawet wtedy gdy nas nie ma.
Według zapisów Ksiąg Wieczystych.
(I nigdy nie było.)
Ta cisza przenika każdą
część rozproszoną w przestrzeni.
Każdą całość
scaloną ponownie.
Trwanie niepodobne do niczego co było
przedtem
i potem.
Sprzeczne z jakimkolwiek wyobrażeniem.
W swej nieodgadnionej
boskiej naturze.

Ciągle zmieniającej się szacie.
W trwaniu trwającym
w jednym.

Korekta

Odwrócić. Cofnąć.
Bieg wydarzeń podąży innym torem.
Bez niepotrzebnej kolizji na końcu
scenariusza.
Przypadkowo znalazłem się
w tym miejscu
w tym czasie
w określonym momencie historycznym
wbrew pierwotnym intencjom.
Po odegraniu roli
Odejść.
Jakby mnie przedtem i potem
nigdy nie było.

Andrzej Książek

Adam Wiesław Kulik

kim jesteśmy, dokąd idziemy

tu wschód krzyżuje się z zachodem
duch ze zbrodnią
myśl z bełkotem
wrzask jak tęcza ponad tłumem
podjudzonym
co rządzić chce w imieniu obcych

zdrajcy w szatach bohaterów
wetkną sztandar w swojski gnój
jad tryska jak fontanny
gnojówki zdroj
prawo złamane jak ołówek
lumpenelity – amok pychy
z pogardą podpuszczają tłum
węszą
stare imperium idzie w gruzy
sznurówki w butach już zetlały
nowy hegemon nowe światło
orderzy – ciepła ręka – już czekają
świat czeka na nowy świat
na nowo-staro zbudowany
nowo-staro zakłamanym
w cyklicznym kręgu zlasowany
gdy przyjdzie czas

Post scriptum

pan premier zarżniętym jest
z żoną choć się strzegł
inny z helikopterem spadł
pan wice na krawacie zawisł
komendant policji kulę dostał
generał z przyłożenia też
prezydent wrócił wprost na Wawel

z generalicją prosto z nieba
sprzedawczyk biega po ziemi choć go uwiera
od rzeki do rzeki
od gór po morze
Judasza polski

kim jesteśmy
dokąd idziemy

14 kwietnia 2021

mój czas

tysiąclecie mija i tysiąclecie nadchodzi
ludzie – jak zwykle – zdychają z głodu
w środku Europy
na pobojuwisku
migotanie wykwintnych umysłów
tajniacy w szyku
zmęczenie na obrzeżach
globalnie: dezynwoltura zdarzeń
dezynwoltura znaczeń
dewaluacja człowieka

elegancki świat nuworyszy
pławi się na Hawajach i na Bali
Indie męczą

w tej sztuce
największe role grają karły i hieny
przyzwoitość w pyle polnych dróg
zapity życiem
nie mam gdzie uciec

z Walta Whitmana

I

długo dawaliśmy się uwodzić
już nie umykamy nie mamy sił
nieobecni bez nadziei na powrót
– byliśmy ziarnem przez chwilę
teraz osobno i nasze szczepy też
rośniemy obok siebie jak dąb i świerk
jak dwie ryby nie znające słów
dwie drapieżne kanie
każda obojętna na los drugiej
dwoje drapieżników polujących osobno
dwa odległe strumienie
wpadające do dwóch mórz
jesteśmy jak chłód mrok i deszcz
bez nadziei na powrót do domu
bez radości
przeraźliwie samotni

II

żyć w myśli i uczuciach żywych
jakbym miał wciąż dwadzieścia lat
w pełni sił i urody ciała
z głową pełną chmurnych tekstów
żyć czekając na ocean
który zagarnie kiedyś nieodwołalnie
w dzień cętkowany słońcem
tak bym nie myślał o powrocie
z ufnością dziecka które zna
tylko dobry świat i dobrych ludzi
w urzeczeniu płynności dni
w skrusze
w zapachu wiosny, jesieni i zimy
pośród greckich bogów
w blasku ich zrujnowanych świątyń
pośród łowców polerujących pierwsze rzeźby
i malujących pierwsze jaskinie

żyć pełnią która nigdy się nie spełnia
jak grudka ziemi
tylko żyć
śmiejąc się i wstydząc płacząc i radując
nienazwany nieopowiedziany niepochwytny

4 VII 2021 Labenne

Adam Wiesław Kulik

Gabriela Kurylewicz

W trupim cieniu covida

W trupim cieniu covida
straciłam pamięć
w moim aj-fonie.
Żeby przypomnieć wiersze
i fragmenty filozofii,
powinnam zapewne
wynająć
Aj-diabła
za duże pieniądze.
Lecz tego nie zrobię.
Spłoszone myśli,
ubrudszone słowa
przywołam sama.
Będę czekać cierpliwie
tak długo,
aż moje owczarki, wilki
i ogarki gończe
wrócą do mnie
wiernie i prawdziwie.
Przecież je nazwałam,
ukochałam.

23 XI 21

Ogarku biegnij

Ogarku biegnij
przez łąki, przez puszcze.
Biegnij przez wichry,
burze i deszcze.
I jeszcze

przez kryształki rosy,
dzwoneczki, fiołki,
maczki ozdobne,
dróżki, piaszczyste,
mgły jedwabne
i słońca promienie!
Ogarku nie gaśnij!

20 VI 22

Ogromne morze

Ogromne morze,
chmury pełne wiatru,
jaskółki, gołębie, mewy –
słyszę i tęsknię.

Błękit głęboki
srebrnymi wstążkami,
rozświetlony słońcem –
widzę i tęsknię.

Drogę do rzeczki
i od rzeczki plażą,
wzdłuż dębów, buków
i sosen –
czuję i tęsknię.

Malwy, róże, jabłonki,
wiśnie, śliwki, orzechy,
modrzewie –
myślę i wielbię.

W dzwoneczki, koniczynki,
groszek, rumianek
i trawę wysoką –
przyklekam, znikam i –
chwytam, jest –

Ławeczka pod domem,
pies czarny, pies tri-kolor,
rodzice najdrożsi –
idę do was
całym tchnieniem.

16 V 22 (wiersz z tomu *Karwia-świat*)

Gabriela Kurylewicz

Jerzy Marciniak

Trzy wiersze

ja i ja oraz on i on¹

ja poeta
po technikum włókienniczym i studiach prawniczych
on malarz
ukończył Akademię Sztuk Pięknych

nocami chodziliśmy na spacer
najpierw razem prosto i środkiem drogi
nad ranem często osobno i bardziej po poboczach

nawoływaliśmy się szukaliśmy szukaliśmy
ale
nie potrafiliśmy odnaleźć
myliliśmy drzewa z postaciami
one i oni kołysali nam się w niewyspanych oczach

mówili
że miał talent do pijaństwa
a ja do pociągania z butelki

tworzyliśmy mało

żona go zostawiła
mnie rzuciła

nieraz pożyczył ode mnie marynarkę
dużo za dużą
wtedy
dla równowagi chodził w butach o dwa numery za małych

¹ Wiersz otrzymał Grand Prix w konkursie poetyckim im. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w Katowicach w 2022 r.

nieraz
 czytałem mu wiersze
 on był ambitny i odwdzięczał się ochoczo
 poprawiał pędzlem odbicia mojej twarzy na kałużach
 żebym wyglądał lepiej
 a zimą
 gdy mróz wchodził szronem do naszej przestrzeni
 pożyczał mi moją marynarkę żebym się trochę ogrzał
 i przy pisaniu wierszy nie miał roztrzęsionych palców

portrety moje malował wtedy ręką
 którą trzymał w kieszeni

Lund / pisane zimą która kiedyś nadejdzie

zwiewna tancerka

była zwiewna jak na wietrze z bajki królewna
 miała
 śmiejące się usta i ujmujące spojrzenie
 godzinami patrzyliśmy sobie w oczy

kupiłem ją
 na bazarze z antykami i współczesnymi starociami
 od staruszki
 która kiedyś mogła być podobna do zwiewnej tancerki

w domu spostrzegłem że na odwrocie
 były skrzyżowane dwie szable
 porcelana miśnieńska

wróciłem by dopłacić staruszce
 ona pieniędzy nie chciała
 miała na sobie stary sweter z wytartymi łokciami

mówiła z mocnym obcym akcentem
 że

jej krewna tańczyła kiedyś w Teatrze Maryjskim
to niech jej postać będzie u artysty
wtedy
będą mniej płakać za sobą

obiecałem
że będę dla obu dobry

tańczyliśmy nocami
gdy świt pukał głośno do okna ona odchodziła
na półkę
ja
ścierałem z policzka i ust ślady jej szminki
pot z czoła
i
szybko zasypiałem ze zmęczenia

zwiewna tancerka tańczyła wtedy sama
w przerwach
cicho poprawiała moje sny
nierzaz
przykładała palec do mych warg
bym za gośno nie wypowiadał jej imienia

2020.05.13

spojrzenie w głąb

ukończyła wydział scenografii teatralnej w Sztokholmie
była głównie znana jako artystka niepokorna
pisała muzykę filmową
dobrze grała na skrzypcach

piła whisky z lodem
na kaca lód z whisky

scenariusze i sztuki teatralne czytała przy bufecie
najczęściej

nuty pisała w domu i w samotności
najczęściej

ubierała się dobrze gustownie
rozbierała jeszcze lepiej i jeszcze gustowniej
mężom
których miała trzech
ale
nie tylko im

swoje nuty... zwłaszcza Lacrimosę i Requiem
czytała czytała przeglądała cicho nuciła
zamykała oczy
i patrzyła uważnie za siebie i w głąb siebie
jakby
wszędzie chciała sprawdzić czy nadal jest tą samą osobą
znaną
cenioną
jak dawniej kochaną

gdy była smutna czy przygnębiona
to przychodziła do mnie wczesnym wieczorem

mimo upływu lat
nadal
rozbierała się modnie i elegancko

piliśmy whisky z lodem
zakąszaliśmy lodem z whisky

wtedy można było usłyszeć jej śmiech

wychodząc nad ranem podawała mi rękę

z każdym rokiem bardziej rozedrganą

Stockholm 2022.04.22

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Żywica (2)

(na razie tylko szkic; całość kiedy umrę; przyjdzie na kolanach)

*Ku czci Lotników Dywizjonu 303.
Czytaj dźwiękowo.*

Żywica – krew drzew
zsuwa się wolno
angielskie drop drop
polskie ście-ścieka ka kap kap
struż-ka kap (się nie bój nie kapuje)
kroplami po drzewie
bo nikt nie może
jej
zakazać wolności spadania
zwłaszcza po drewnie krzyża

ale powoli by wszyscy widzieli
ból od strasznych uderzeń
od gwoździ pocisków – dowodów zdarzenia
jest sednem życia drop bomba leci
i nietykalna jak gniew
i słodycz szaleństwa
gdy miłość podwoi ci sens
tego co masz jako życie
drop drop w czasie powrotu
do ziemi która utula korzenie
życie ważniejsze od cudu bycia
które się zdarza na świecie

Kamieniem być może wszystko
a ciało twoje jeszcze ciało nie chce

Po korze pamięci się zsuwa
jak po czyjejs ręce oddając się do picia
drop z kielicha łyk na zdrowie
Tego już drzewu nie trzeba
Na twojej szyi jedna się zaczepiła
kropla co ściekła z którą

to z nią cierpisz
stary fragment myśli co się z wargi zsunął
a pod paznokciem czeka inna
na czyjaś skórę i śni się
drap drap ją do krwi swędzi
niczym szczepienie przeciwko złości
kap!

*Czytając hucz mocno
niech huczy ci w czaszce
wiatr odrywa skrzydła
silnik po dnie piekła skrobie
a śmigło się wyrywa
oczy pękają w głowie
w ogromnym pędzie
huczq i kreślq spirale
uszy tępo niszczą myśli
tak huk huczy hukiem
słowo po słowie bez wyrazu*

Odporność do końca życia
dla wspólnot o których
nic nie wiesz (*jeszcze*)
drop drop buch –
petar! tarda! lotnik zasłonił się
łokciem co się zowie co się zgina
a to groziło zapaścią całej załogi
zalaniem na śmierć
Ta kropla jego ciała
ze zgiętą z bólu kończyną
gra rolę złudzenia

ach jak huczy!
(krzycz)
za-wodzi od tej chmurnej deszczowni!

Na pozór zastyga
pod skrzydełkiem wąsów
i z kolbą od myśliwca
który bronił Londynu
w tysiąc dziewięćset czterdziestym
i kiedyś jeszcze
i jeszcze nieraz
nabroi broniąc
do upadłego
tych co ginąć
nie chcą
i mają w słoiczku
żywicę
krew drzewną
do postawienia
na radyjku

Piotr Müldner-Nieckowski

Alicja Patey-Grabowska

Bo czym człowiek jest

Bo czym człowiek jest
czym jest
za maską którą wkłada
rano gdy blask
szybko w pośpiechu
ukradkiem
jakby się bał
własnej nagości?

O zmierzchu cienie
znaczą
kocim pazurem
piętno

Odetchnąć

Maska weszła w krwiobieg

Z tomu „Poezje wybrane” (LSW, 2020)

W pół drogi

*Aby dotrzeć do tego, o czym nawet nie wiesz
musisz pokonać drogę (...)*

*T.S. Eliot „Cztery kwartety”
Tłum. A. Pomorski*

I

Na przecięciu
po środku
jeszcze daleko
do końca

Ale już świt
obwieszcza kur
ostry dźwięk
dzwonów

II

Podaj rękę
Samotności
Zaprowadź
w tajemne obszary
Zapoznaj nas
z tym co będzie
Bo człowiek jak drzewo
umiera samotnie

III

Na przecięciu
jeszcze niewiadoma
To dopiero
pół drogi
Ale już codzienność
utraciła kolor
szarość starła kontury
a Czas
wybiera Życie
na rytualną ofiarę

IV

Na razie
w środku
na przecięciu
jeszcze bezpiecznie

Tak nam się zdaje
gdy patrzymy
mętnym wzrokiem
na rozmytą dal
przed pogrążeniem się
w mroku

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

Haiku

* * *

suche gałęzie
jak młodo wyglądają
w śnieżnych czapeczkach

* * *

puściły lody
ich pierwsze spotkanie
na nowym moście

* * *

cieplejszy powiew
pręży się i pręży bambus
przed domem

* * *

bez puchówek
więcej i więcej luzu
między nami

* * *

pierwszy dzień wiosny
pomaga jej oczyścić
stary rower

* * *

wróci nie wróci
krecie górki przelicza
kolejną wiosną

Krzysztof Rudziński

Oktostychy nieśmiertelności II

Pamięci Joanny i Tadeusza Pełców

Śmierć mi będzie burzy ukojeniem.
Zbawczą portu doskonałą ciszą.

(Wiatru powiew fal tam nie kołysze.)
Odpoczynku zakrzepłym cierpieniem.

Lecz nie kresem, kluczem zdolnym pomóc,
Do pałacu portykiem, bramą ostateczną.

Oddychaniem obietnicą wieczną
Jak szczęśliwym powrotem do domu.

Wciąż cicho się przechadzam...

Wciąż cicho się przechadzam wśród dawnych skamielin,
W ogrodach Twych uśmiechów, cichych westchnień serca,
Rzadko pan swego losu, fatum spadkobierca,
Spoglądam po alejkach, włóczę się bez celu.

Stos ofiarny już spłonął, dawno się spopielił.
Pośród zarosłych ścieżek błyszczą białe kości.
Zamordowana miłość. Nicość wśród ciemności.
Bezkresu wiecznej nocy, który nas rozdzielił.

Tylko pamięć niezłomna, że czasem powracasz.
Choć nie znam zbawczej pory, nigdy nie wiem wcześniej,
Kiedy znów staniesz obok, pojawisz się we śnie

Nierzeczywistych komnat, w niebytu pałacach.
I jeszcze to milczenie, które między nami
Trwa, jak zaklęty ogród, jak przekleństwa kamień.

Piranesi

Waldemarowi Smaszczeni

Szedł i przed sobą wciąż rysował
schody, poręcze, a nad głową
przestrzeń zawisłą bez poręczy,
w której jak schizofrenik dręczył
nas myślą uwięzioną
w zaciszu czarno białych snów,
z głową pod pachą, i bez głów,
jak w kraju pełnym łowców głów.

Ołówkiem w ręku szedł przed siebie,
ustawiał drabin stos do nieba.
Wiązał je w pęczki nitką wiotką,
przemalowywał w gęstość motka.
I tak się wspinał, wciąż od nowa
na rusztowania przerysowań,
co chwilę pomost ucieleśniał
i parł bez końca tropem treści.

I przeszedł – zapisane echo.
Został, złudzeniem pod powieką.
Czasami nocą, za zasłoną,
gdy ją odchylam, znów się wspina
po Drogi Mlecznej połoninach
i wciąż kreuje nieskończoność.

Był taki grafik, Piranesi,
samotny, niczym duch w operze.
Ach, mówiąc ściślej, mówiąc szczerzej,
rysował świat, w który nie wierzył.
– Lecz ja mu coraz bardziej wierzę.

Krzysztof Saturnin Schreyer

Cebula

Różne są dylematy, ten dość dziwnym będzie
no i nie wiem, czy warto nim dręczyć sumienie.
Gdy idziemy pod rękę wśród wieczornych cieni
nagle widzimy pole i cebule w rzędzie.

Ja chciałem przejść spokojnie, ale przy mnie Ewa
do grzechu już namawia przymilnie i czule:
– Chodź zerwiemy choć kilka, wszak lubisz cebule.
I... już niesiemy parę, choć się trochę gniewam.

Ewa żyje w obłokach, cóż parę cebulek
na polu pod księżycem, aczkolwiek nie własnym,
„to wszak drobiazg, a mówiąc szczerze i w ogóle

ty sumienie masz jakby cokolwiek za ciasne”
i rajsco się uśmiecha ma Ewa radosna.
Cebulę zjadłem dzisiaj, była bardzo ostra.

14/15 VII 2022

Grudko materii

Grudko materii ożywionej
ja wielbię cię i nienawidzę,
bywam wielkością twą strwożony
lecz często się za ciebie wstydzę.

To ty, to ja, to my i oni
w pożywnym gnoju jak robaki
to ponad niebo wyniesieni,
to w dymie życia byle jakim.

Po co przemysłnie lat miliony
 męczyły się, by ciebie stworzyć?
 Czy Bóg po siedmiu dniach zmęczony
 chlubi się dzisiaj Dziełem Bożym?

Grudko materii tajemnicza
 co znaczysz? Może nic nie znaczysz?
 Twe dziwne ruchy i oblicza...
 Czy mogłaś zrodzić się inaczej?

7 XII 2022

Modrzew w Radziejowicach

Smukłe, wyniosłe nad innymi drzewo,
 ażurową głową bezlistnych gałązek
 odwróconym wahadłem spogląda na niebo,
 to na ziemię, gdzie bywa literacki związek.

My w salonie, bez czasu, poetka, poeta,
 spoglądamy na nagie gałęzie jesienne;
 na ścianach wielcy ludzie zakłęci w portrety,
 zegar odmierza życie, przelotne, bezcenne.

Modrzew wyrósł nad inne drzewa dookoła,
 gnąc swą koronę lekką, jeszcze nie złamaną,
 mówi: – Kiedyś mnie zamkną w zdrowe belki dworu.
 Niech po waszej miłości słowa pozostaną.

14 X 2018 – 26 VI 2019

Z tomu „Człowiekiem jestem”



Johann Melchior Georg Schmidtner
Maria Knotenlöserin (Matka Boża rozwiązująca węzły)
Obraz z kościoła św. Piotra w Augsburgu, mal. olej. ok. 1700 r., 182 x 110 cm

Olga Wójcik

Z inspiracji obrazem Johanna Schmidtnera

Jest łańcuch węzłów
kłębiących się u Jej boku

A Ona
pokornie w skupieniu
rozwiązuje po kolei
węzeł po węźle
każdy – każdego uciekającego się do Niej
z czułością rozplątuje

Kiedyś próbowałam
rozsupłać supełek
i przyszła
złość i pyrgnięcie sznurka na podłogę

A Ona uśmiecha się
otulona chmurą
błękitnego płaszcza
pracuje

Teraz ma w dłoniach
mój węzełek miłości
proszę Ją o szczęśliwe rozwiązanie

19 grudnia 2022 r.

Zbigniew Zbikowski

bez porównania

rozkwiecił się bez
 porównania
 wyfiolecił jak dziewczęca
 wstążka w łopianach zaniebieszczył
 jak marynarz w stawie
 wśród lilii wodnych rozbielił
 jak bocian na łące podmokłej
 przeróżowił jak to bez
 po co porównania niczego
 nie wnoszą w treść
 park się rozfiolecił
 przeniebieszczył zaróżowił
 wybielił porównania
 są zbędne wystarczy się wonią
 zachłysnąć i tonąć w zachwycie
 bez

notatki z podróży przez Wołyn

witają rozlewiska
 roztopiska drogowe
 wyboiska zapory krzyczące stop
 do kontroli sygnały czasu
 przemarsze drzew krok
 w krok wzdłuż drogi
 przemija za brzezina
 brzezina znaki miejsca
 girlandy jemioly duszące stare
 jesiony ssące ich soki łyk
 po łyku tylko sosny na baczność
 nieuległe i niepoległe
 dwie cerkiewki we wsi jedna

obok drugiej oflagowane zdąsane
siostry niepokodzone
rozdwojone promienie duszy
stuletnie chałupy świadkowie dni
zbołałych ginące w boju
o jutro z barwioną fasadą przybite
wielką płytą przebłąski pamięci
na horyzoncie czasu i nieba
potrójna czerwona łuna
od wschodu po zachód dzisiaj
zabarwia ją krew Bachmutu

marzec '23

Tamara Bołdak-Janowska

Zapiski 20

Porozmawiajmy o czekaniu „na Bogusia”

BeJot: Zaczniemy cytatem z Noama Chomsky’ego (N.Ch.): „Przypuśćmy, że jesteś na łożu śmierci. Ilu ludzi spojrzy wstecz i powie: «Przyczyniłem się do pomocy... do tego, żeby choć jeden człowiek nie został zabity»”. Wstrząsnęły mną te słowa. Jest mi obojętne, że N.Ch. jest uważany za strasznego lewaka (lewicowość to straszność w mediach), nieumiarkowanego krytyka obecnego „cywilizowanego świata”. Te wstrząsające słowa padły podczas rozmowy z Michaeliem Albertem jakieś ćwierć wieku temu, ale zachowują wagę. Na zawsze zachowają. Ocal życie choć jednego człowieka. Choć jednego. Co za wezwanie! Nikt nigdy nie wyrzekł takich słów.

Nie rozumiem, po kiego na okładce umieszcza się tekst o nieprzyjęciu przez N.Ch. „narracji” prowojennej, dotyczącej napaści Putina na Ukrainę, skoro eseje w ogóle dotyczą innego czasu, innych wojen, wywołanych przez „cywilizowany świat”?! Po co to „ostrzeżenie”? Nie jest tak, że czytelnik łyka wszystko bez koniecznego krytycyzmu. Mnie na przykład zupełnie nie podoba się kawałek rozmowy, dotyczący aborcji, bo świadczy o tym, że N.Ch. ma nikłe pojęcie o kobiecie i jej organizmie, nie ma zielonego pojęcia o poronieniach samoistnych, o martwych płodach, które zagrażają życiu matki, i o wielu innych najistotniejszych i bolesnych dla kobiety sprawach, jak choćby gwałt i stałe nim zagrożenie (dosłownie i nadal: stałe, bo są wojny i ciemne zaułki), no i o wszelkich patologiach ciąży, o krwotokach. Zamiast takiego rozeznania mamy tradycyjne bzdury, od kiedy zygota zaczyna być człowiekiem, itd., ojej. Chociaż... W pewnym momencie jednak padają słowa, że zygota to wciąż narząd kobiety, ale temat pozostaje nierozesznany, poruszony mimochodem. Jeśli tak jest z każdym rozeznaniem w każdej poruszanej sprawie, to rany boskie! Jednak potraktuję poważnie tę rozmowę dwóch facetów, przynajmniej jeśli chodzi o zbrodnie „cywilizowanego świata”.

N.Ch. wylicza zbrodnie wojenne ze strony USA po II wojnie światowej, aż się włos jeży!!! Kambodża, Wietnam, wiele, wiele innych upatrzonych do zniszczenia krajów, w Azji, ale nie tylko tam... Zbrodnie!!! Potworne!!! Tam spadło więcej amerykańskich bomb na cywilów niż w czasie II wojny

światowej ogółem wziętych!!! – tak twierdzi na podstawie dokumentów N.Ch. – Amerykanin, który widzi belkę we własnym oku. To się nigdy nie przedostało w pełni do mediów. Przedostawała się jakaś pojedyncza masakra na cywilach, ale i to dobrze, bo spowodowała masowe protesty antywojenne (czasy napaści USA na Wietnam). Twierdzi, słusznie, że obecnie państwa nie mogą stosować jawnej przemocy wobec demonstrantów, to już nie przejdzie, bo państwo straci przymiotnik „demokratyczne” czy „cywilizowane”, bo ludzie stali się bardziej świadomi swoich praw, wiele spraw publicznie przedyskutowano, ale męczenie ludzi i wymuszanie na nich uległości wobec polityków zostało „rozwiązane po nowemu”: państwa wpadły na pomysł zmasowanej propagandy w mediach na jedynie słuszny temat, i z wymuszaniem jedynie słusznego zdania i poglądu, i ani słowa nie można wyrzec wbrew takiej propagandzie, bo się straci pracę, karierę, możliwości publikacji. No proszę. To wszystko zamiast bicia i aresztowań protestujących na ulicach, choć i z tym mamy do czynienia – jednak jest i to. Ale ogólnie jaki śliczny nowy sposób ujarzmiania, niewolenia. No i zostały zniszczone więzi międzyludzkie, wyhodowano człowieka izolowanego, który pogadać może wyłącznie o sprawach rodzinnych i codziennych – bełkotanie, plotkowanie – o tym to proszę bardzo. Albo będzie milczał, nadęty czy rozrehotany (po co mówić, skoro wystarczy mina). Mózg mamy po to, żeby myślał o świecie, a nie tylko o zupie na stole. Według myśliciela cały system edukacji to hodowla człowieka jednakowego i izolowanego (brak myślenia o świecie – połączonego, łączącego, humanizującego świat), a w systemach wszędzie mamy totalitaryzm jedynie z resztkami demokracji, z mechanizmami, dotyczącymi na przykład wyborów, choć i to jest pozorowane. Wszędzie człowiek jest izolowany, aby przypadkiem nie powiedział, co widział, co czuje, na co się nie zgadza. To izolacja szczególnego rodzaju: nie wolno brać udziału w wątku rozsądnym, zadawać kłopotliwych pytań, myśleć, nie zadowalać się propagandą, być „jak wszyscy”, dostosowani, i nie wolno nie chcieć mieć smartfona, żeby dzień i noc tykać w niego ślepnącym okiem.

Ależ od trzydziestu lat ja o tym piszę, tracąc bardzo dużo, przede wszystkim bardziej izolowano mnie od mniej izolowanych. Ja muszę.

Jeszcze cytat, który też przeraża, choć słyhać w nim ironię i śmiech: „(...) walki kogutów budzą w nas wstręt, ale – uczy my ludzi rozrywać ludzi na strzepy – to się nazywa boks. W naszym kręgu kulturowym są więc zachowania, na które nie pozwalamy kogutom, ale pozwalamy ludziom”. Jednak dobrze, że żyje na świecie Noam. Uprzytamnia, że bokserów bierze

się z biedoty, dobrze im się za mordobicie płaci, żeby wygrał, żeby przegrał (za to też się sowicie zapłaci – niech się pozwoli zmasakrować, ale jednak jakoś przeżyje). I pół głodna bida z nędzą zostaje milionerem, i się oczywiście z tym obnosi jak neofita. Nie podchodź, bo to nadczłowiek z setką najdroższych samochodów w najdroższym garażu pod najdroższą willą, z najdroższymi portkami na najdroższej dupie świata. Manifestacja bogactwa przez neofitę jest wprost porażająca i krańcowo żenująca.

Al: A ktoś z filozofów przyjął jedynie słuszną „narrację” prowokującą? Mówiła pani, że nikt z nich, że się zbuntowali jak jeden.

BeJot: Bo nikt. Zbuntowali się. Po to jest się filozofem, żeby sprawy badać i mówić to, co się wreszcie powinno powiedzieć. Wreszcie albo w porę. Przecież filozofowie to nie propagandyści. U Hegla wojna była normalnością, ale u Kanta i Heideggera już nie. Najbardziej nienawidzi wojny Leszek Kołakowski, uznając ją za krańcową patologię stanu ludzkiego. N. Ch., podobnie jak najważniejsi dziś filozofowie, przecież uznaje agresję Putina na Ukrainę za krok bezprawny, ale zarazem widzi taki sam krok ze strony NATO, które od 1997 roku podpełzało pod Rosję i przeciw niej, a nie tak sobie, „przeciw nikomu”, obiecując, że tego nigdy nie zrobi!!! To jest równie bezprawne. Ten rozrost wojsk i uzbrojenia jest równie przerażający! Toż to ubiegły wiek, a nawet dziewiętnasty! Komuś coraz bardziej się spieszy do pełnej wojny w Europie. Podpełzanie NATO po Rosję jako rosyjski argument do wojny to też jest propaganda, oczywiście. Jednak politycy prą do wojny w Europie, co już gołym okiem widać. Wszyscy poważni filozofowie widzą to, przestrzegają, wołają, żeby tego nie robić. Niestety, rządy to robią. Hodują nową wojnę w Europie. Polityków nie obchodzi życie ludzkie ani to, że terenem wojennym może być już i Białoruś, i Polska. Nie obchodzi ich i nie obchodzi los Ukraińców, ani nikogo z tak zwanej Europy Środkowej. Wszyscy filozofowie popadli w konflikt z politykami. Zamykane są strony w Internecie z ich wypowiedziami. Jeśli N. Ch. jest przeciw wojnie, którą organizuje USA, i organizowało wojny po II wojnie światowej, za nic mając życie cywilów, dzieci, to można się prawdziwie zatrzeć. On mówi o tym wprost. Znowu to samo! Niby walka o demokrację. Podtrzymywanie takiej walki. Guzik prawda. Zniszczy się to, tamto i inne państwo w imię interesów polityczno-finansowej mafii. Noam mówi wprost: dzisiaj politycy to mafia. Nie wiem, czy przesadza. Być może polityków już nie ma, skoro możliwa staje się wojna w Europie. Mój głos sprzeciwu nie liczy się. Ale nie przestanę ostrzegać. Nie przestanę wołać o zaprzestanie wojny! Nawet nie proszę, aby mnie poparło jak najwięcej ludzi, bo ludzi już wyhodowano

na jedno kopyto. Ludzie to podludzie. Już? Nie godzę się na bycie podczłowiekiem. Nie!!!

Będę szczęśliwa, jeśli choć jeden człowiek nie zostanie zabity dzięki memu wołaniu. To nie jest małe chcenie. Może małe. No nie. Życie ludzkie to nie jest mała rzecz.

Al: Wszyscy, dosłownie wszyscy już się do wojny przyzwyczaili. To już nie boli. Można wojnę rozwijać. Ja się nie przyzwyczaję. A Pani za N. Ch. Mówi o ocaleniu życia choć jednego człowieka. Musze przyznać, że to piorunujące wezwanie czy jak te słowa nazwiemy. A na FB jakieś baby zatakowały za głos zdecydowanie antywojenny Alice Schwarzer i Sarę Wagenknecht. A przecież te myślące kobiety widzą, co się dzieje, jak korporacje handlujące bronią, nasze i wasze, i zarabiają na trupach, i przedłużają tę obrzydliwą wojnę dla własnego zarobku. Przyszedł do mnie hydraulik i opowiada, jak się męczył, kiedy naprawiał jednej babie kaloryfer, a ta przez ponad godzinę oglądała ryczącą propagandę w telewizji. Myślał, że się wykończy. I wie pani, i on, ten hydraulik, mówi: ona w to wszystko wierzy!!!

BeJot: Nasza propaganda czy Putinowska? Ta baba w którą wierzy?

Al: Były dwie baby. Jedna wierzy w naszą, a druga w Putinowską. Hydraulik skarżył się, że u dwóch bab telewizor darł się, aż ledwie można było wytrzymać. Narzędzia gubił. Jego sprawą było naprawić kaloryfer i jakoś wytrzymać obie propagandy, i te obie wiary. Mówię pani, hydraulik opowiada o babskiej twarzy przyssanej do ekranu, bo tam mówią prawdę, i ja wręcz to widzę do dziś, tak barwnie hydraulik opowiadał, i mnie też robi się niedobrze. Taka babska wiara.

BeJot: Według N. Ch. ludzi dotknęły trzy potworności: faszyzm, bolszewizm i korporacje. Dwie pierwsze zostały przeżute, bo zawsze pojawiał się moment tak zwanej odwilży, i choć na krótko, to ludzie zdążyli zmieścić te potworności, zmiękczyć nieludzkie systemy, trwale, ale pozostała czy też powstała trzecia potworność: korporacje (międzynarodowe). To totalitaryzm prywatnych sadystycznych łap, z którymi nawet politycy sobie nie radzą. Pacany z prowojennych korporacji chcą wojny, to ją zrobią. Wszędzie pozrzucają bomby z zubożonym uranem, czyli mówiąc prościej – atomowe. To są bomby atomowe, tylko ślicznie się nazywają. Naszpikowali nimi Bałkany, Irak. Mają media ze szczelną propagandą, więc mogą dopuszczać się dowolnych potworności – „naszych, cywilizowanych”. Zatruli planetę tym zubożonym uranem. I co. I nic. Wołają o to, żeby planety nie zatrutować, chcą być dobrzy i cywilizowani. Tymczasem zatruta atomem planeta ledwie żyje. Ale przecież to nasza cywilizowana trucizna.

I jest tak: człowiek, który choć odrobinę myśli, to ma mózgową sprzeczność, chorobę umysłową rozdwojenia: i chciałby, i boi się. Opór przeciw korporacjom jest niemożliwy, bo ta mózgową sprzeczność nie pozwala: i chciałby, i boi się.

Al: Obecnie nawet uniwersytety umarły nam. Zacytuję Lamberta: „Przeznaczanie zbyt małych budżetów na badania na uniwersytetach prowadzi do niepoahamowanego wyścigu o kontrakty przemysłowe lub inne, co powoli przekształca kadrę akademicką w zarządców administracyjnych lub finansowych, w szefów małych lub średnich przedsiębiorstw, zmuszonych ostatecznie zrezygnować z podstawowych badań w ogóle. Wszystkie te nowe zjawiska powodują zatrąę uniwersytetu jako miejsca niezaleźności i prowadzenia badań podstawowych, jako miejsca pytania o sens, o fundamenty, a nie tylko o pożyteczność i rentowność”. To o czym mówimy, skoro uniwersytety to też słuszny bełkot! Nauka bez pytań o sens, o wybory moralne? Bez krzyku antywojennego? Toż to rzeczywiście patologia. Mało kogo to obchodzi? No jak pomyślimy, że te dwie baby, o których wspomniałem, wierzące w propagandę telewizyjną, to większość? Przynajmniej większość bab? Strach się zastanawiać. Mogłaby pani coś wymyślić, żeby wojna się nie rozrastała, mnożąc trupy. Ocalić życie choć jednego człowieka.

BeJot: Mogę jedynie pisać i nie czuję się komfortowo. Nic więcej nie mogę. Bo jak? Bo gdzie? Któryś z myślicieli stwierdził, zresztą niejeden: jeśli ludzi bombarduje się propagandą wojenną, to są dwa wyjścia: nieuleczalna depresja lub samobójstwo. Nie jest mi obce poczucie tych dwóch wyjść. Najgorsze jest czekanie na lepsze jutro, na to, że upadnie zła sprawa, że wojna jako taka skończy się raz na zawsze, że się przestanie lać propaganda. Na tę myśl o bezsensowności czekania natykam się w książeczce teologa Franka Hasela. Książeczka taka sobie, bo z momentami poradnika, ale są w niej momenty nie do przegapienia. Właśnie o czekaniu. Czekanie skraca czas, likwiduje życiorys. Czas zaczyna bezowocnie umierać. W książeczce jest przywołany wiersz Dr. Seussa, (tego, który napisał wspaniałego Kota w kapeluszu, przetłumaczonego kongenialnie przez Barańczaka na Kota Prota), a ja cytuję tak, jak w tekście był, miejscami bez znaków przestankowych:

*Czekają na odjazd pociągu
albo przyjazd autobusu, albo wylot samolotu
albo przychodzącą pocztę, albo padający śnieg
albo dzwoniący telefon, albo sypiący śnieg
albo czekają na „tak” lub „nie”*

*albo czekają, aż włosy im urosną
Wszyscy po prostu czekają.*

*Czekają, aż ryba chwyci przynętę
albo czekają, aż wiatr podniesie latawiec
albo czekają na piątkowy wieczór
albo czekają, być może, na wujka Jakuba
albo na zagotowanie wody, albo lepsze jutro
albo na sznur pereł, albo parę spodni
albo na perukę z lokami, albo kolejną szansę.
Wszyscy po prostu czekają.*

No więc wszyscy czekają, aż się wojna skończy, a żadna nowa nie będzie organizowana, ani żadna nie będzie podtrzymywana. Tak u Becketta dwaj mężczyźni, ogołoceni ze wszystkiego, czekali na Godota, i o tym też mówi Hasel. Godot nie nadchodził. „Got-ot” pochodzi od słowa „Bóg”, i sam Beckett naciskał, aby je wymawiać z akcentem na pierwszej sylabie, podkreślając w ten sposób związek słowa z Bogiem, choć zarazem twierdził, że to niezupełnie Bóg. Czyli czekali na „Bogość”. Na coś lepszego. Na coś tak dobrego, że aż. Czyli, ściślej mówiąc: czekają na Boży Czas. Jednak najlepiej powiedzieć: czekali na Bogusia. W języku francuskim „-ot” oznacza zdrobnienie wyrazu, a wyraz Godot jednak zawiera Boga, chcemy czy nie. Nic z tego, czekanie, czekanie nic nie daje. Czas czekania na Godota, czyli na Bogusia, był zmarnowanym czasem. Książeczkę z kazaniami podarował mi na ulicy pewien mężczyzna, który najpierw chciał mi ją sprzedać, ale mówię, przejrzawszy kilka stron, że nie chcę, bo to kazania, a ja kazań nie znoszę, bo się w nich zawsze mętnie plecie o nadziei i miłości, i ta mętność jest nie do zniesienia. W końcu podarował mi ją. Może dobrze. Miejscami, kiedy Hasel powołuje się na wybitną literaturę, jego kazania nabierają wielkiego sensu. Siła wybitnej literatury jest porażająca, to znaczy starej literatury, nie tej zastąpionej popkulturowym bełkotem. Resztę paplania Hasela mogę sobie darować. Chociaż podoba mi się jego adwentystyczny upór co do pokoju: chrześcijaństwo jest życiem w pokoju, dla pokoju, ze stałym podtrzymywaniem pokoju. Ja się też tego trzymam i nie dam się wytrącić z tej jednoznaczności na rzecz relatywizacji pokoju. Nie, i już. Chrześcijaństwo to pokój. Ale jeszcze o czekaniu.

Życie ludzkie zamieniono nam na czekanie, czekanie. I na Godota, i na Boży Świat, i na Bogość, i na to, co się określa rosyjskim słowem

„Błagodat”, i na Bogusia, na kogoś łaskawego dla nas, na kogoś z nas i nie z nas, na kogoś z mocą bożą, ale swojskiego, swego z mocą bożą. [Przywołałam rosyjskie „błagodat”, bo języku rosyjskim są precyzyjne słowa, których w innych językach nie ma, na przykład choćby jeszcze słowo „siużet” (to nie to samo, co „wątek”; językoznawcy i myśliciele powołują się na to słowiańskie bogactwo językowe przy okazji omawiania słowiańszczyzny)].

Hasel do jednego z kazań daje motto z Dostojewskiego: „Im ciemniejsza noc, tym jaśniejsze gwiazdy. Im głębszy żal, tym bliżej Boga”.

„Bliżej Boga” nijak nie łączy się z „bliżej Bogusia” u Becketta. Im dłużej dwaj włóczędzy czekają na Godota, na swego zbawcę Bogusia, tym bardziej tracą czas. Możemy nawet zamienić czekanie na trwanie, a i tak będzie to bez sensu.

A ludzie czekają, czekają. Jedni w depresji, inni z myślami samobójczymi. Takie czekanie czyni życie ludzkie całkowicie nieważnym, krańcowo trudnym, bez sensu, bez radości życia. Kot przynajmniej czeka, czeka, aż się ptaszek zagapi, i wtedy hop! Mam go. No i są jeszcze baby, jak pan mówi wierzące w medialną propagandę, naszą i waszą. Toż one by się pozabijały, gdyby stanęły oko w oko. Ludzie zostali ponadziewani na nienawiść. Baby mnie zawiodły. Zawiodły mnie bardzo.

AI: Pani wie, że Stalin spowodował tak zwany hołodomor na Ukrainie. Mówi się, że z głodu zmarło wtedy od sześciu do dziesięciu milionów Ukraińców. Toż tego się nie zapomni. Dzisiejsza wojna będzie się kojarzyć ze stalinizmem.

BeJot: Wiem przecież. Pisałam o hołodomorze w „Nielegalnej zajęczy”. A na tak zwanym „ruskim mirze” suchej nitki nie zostawiłam, bo to propaganda, taka quasi stalinowska, tylko na odwyrtkę. Był adin narod sawieckij, to teraz ma być adin ruskij mir. Holodomor był także na rosyjskiej wiosce. Za duża rozpiętość pomiędzy sześcioma a dziesięcioma milionami ofiar, żeby cyfra była prawdziwa. Przecież już sześć milionów to zgroza, po co jeszcze spekulacje. Stalinizm to był horror. Tylko że dzisiaj mamy dwudziesty pierwszy wiek i obowiązek ze strony polityków organizowania życia w pokoju. To jest polityczny obowiązek! A nie mnożyć propagandę i wojnę. Mówię tak, bo giną ludzie. Gdziekolwiek giną ludzie, to znaczy, że jest coś mocno nie tak. I zdania nie zmienię. Giną ludzie, znaczy tam się dzieje zło. Czyny rosną w potworny sposób. Wojna dotyka mnie!

AI: Polacy uciekali na ukraińskie tak zwane Dzikie Pola, kiedy się czuli zniewoleni przez magnaterię, szlachtę. Chłopi uciekali z powodu ucisku, ale razem z nimi różni watażkowie. Tych wszystkich ludzi łączyło poczucie

wolności. To połączenie samo w sobie przeraża. Ofiara i watażka obok siebie. Nawet nie watażka, tylko bandyta. Poczucie wolności połączyło ofiarę i bandytę. Jednak powołali wspólne nielegalne militarne państwo. Watażkowie, bandyci, swoich nie tykali, to znaczy wspólnie opracowali system życia, żeby każdy człowiek czuł się wolny, skoro państwo składa się z samych uciekinierów w imię wolności. Ten będzie kradł, napadał, rabował, ale poza granicami tego państwa. Podzieli się ze swoim biedakiem. Kozacy. Ludzie wolni. Ich państwo, choć nielegalne, trwało. Można powiedzieć, że w takim państwie wszyscy stanowili wojsko. Ten duch trwania we własnym wolnym państwie żyje do dziś. Trudno to pokonać. Właściwie to niemożliwa sprawa. Zaciekła obrona takiej wolności trwa mocno w podświadomości. Zaciekłość, zapiekłość. To zaszłość, niezdolność do negocjacji, ale trwa. Każdy człowiek stanowi wojsko.

BeJot: Izaak Babel ten stan tę gotowość do obrony nielegalnego, militarystycznego państwa, tę niezdolność i niechęć do negocjacji fenomenalnie opisał. Gdyby rosyjscy politycy czytali Izaaka Babla, to by wiedzieli i na to wojskowe odporne społeczeństwo by nie napadali. Nie pletliby bzdur, że to odin naród. Nie można zmusić różnych narodów, z inną kulturą, do bycia tym samym narodem. Przysiadła się do mnie baba, chyba starsza ode mnie albo bardziej schorowana, o kiepskim, wymęczonym wyglądzie, i mówi: To Zachód pierdolnie w Putina atomową bombą. W Rosję pierdolnie. Kurwa ich mać z politykami. Wszystko, kurwa, wskazuje, kurwa, że to Zachód pierdolnie atomem, kurwa. Dobrze, kurwa, że w Putina, ale kurwa, trupów już dość. Ale, kurwa, jednak dobrze, kurwa, że w Putina, niech odczuje, kurwa.

Al: To były tylko przekleństwa baby. Cóż one znaczą? Tylko te „kurwy” wzmacniają nic nieznaczące słowa. Jaka w nich moc. Żadna. Co znaczy „niech Putin odczuje”? Nie on odczuje, tylko miliony niewinnych ludzi. Baby się drą w powietrze.

BeJot: Ta baba okazała swoją bezradność. A przeklinała, bo, jak mówi: po śmierci męża harowałam na gospodarstwie, za dwoje, za siebie i za męża. I wtedy zaczęłam rzucać mięchem. Sprzęt nawali, to mięcho jakoś pomaga. I rzucałam kurwami, ile mi się zechciało. I tak już mi zostało.

Tamara Bołdak-Janowska (BeJot)

Krzysztof Choiński

Dzwon na trwogę 1922

(fragment powieści *Polski los*)

W Warszawie kotłowało się coraz bardziej, ale i na prowincji przygotowania do wyboru prezydenta podgrzewały nastroje. W kawiarni i cukierni, gdzie spotykały się wyższe sfery miasta, zadymione wnętrza aż huczały od rozmów, sporów i komentarzy. Na ulicy tędzy panowie w kapeluszach i paltach z futrzanymi kołnierzami dyskutowali zawzięcie, wywijając laskami. Wszędzie można było usłyszeć podniesione głosy:

- Hrabia Zamoyski, panie, to tęga głowa!
- Ba, polityk całą gębą! Nie da sobie w kaszę dmuchać!
- Ale Piłsudski spietrał się wyraźnie! Nie chce kandydować!
- Pewnie, boi się porażki!

W kręgu nielicznych legionistów mówiono spokojnie:

– Komendant ma rację! Przy takiej konstytucji musiałby zejść do roli figuranta, a to nie dla niego.

- Uchwalili ją w tej formie, żeby go unieruchomić. Boją się go.

Kiedy wypłynęło nazwisko Narutowicza, prawie nikt nie umiał powiedzieć, kto to jest i skąd się wziął. Powoli jednak do wiadomości publicznej zaczęła docierać sława naukowa kandydata i to, że po odzyskaniu niepodległości przyjechał na wezwanie rządu, żeby służyć ojczyźnie. Porażka Daszyńskiego zmartwiła zwolenników Marszałka, a ucieszyła endecję. Wreszcie bomba pękła: mniejszości narodowe zdecydowały się poprzeć inżyniera!

Krótko po ostatecznej decyzji Zgromadzenia Narodowego, Bronisław szedł akurat na wyznaczoną audiencję do prokuratora. Po drodze natknął się na grupkę rozindyczonych mężczyzn, których chciał ominąć, ale zajmowali całą szerokość chodnika. Zatrzymał się zatem i rzekł sucho:

- Przepraszam panów.

To jednak nie poskutkowało. Chudy jegomość o twarzy śledziennika perorował na całego, skupiając na sobie całą uwagę zgromadzonych:

– To, panie dzieju, koniec Polski! Wybrali go Żydzi, Niemcy i Ukraińcy! No i masoneria, panie dzieju! Trzeba z tym zrobić porządek!

– Czy panowie zechcieliby pozwolić mi przejść? – spytał Bronisław grzecznie.

Dla ludzi, którzy go znali, taki ton zapowiadał zawsze eksplozję, zgromadzeni jednak o tym nie wiedzieli. Odwrócili się na chwilę, po czym jeden z nich zasyczał:

– A pan naczelnik jest zapewne zwolennikiem żydowskiego prezydenta?

Korowski podszedł do niego tak blisko, że prawie zetknęli się nosami i wyrębał:

– Gabriel Narutowicz pochodzi ze starej polskiej rodziny. I wybrali go obywatele polscy, do których Żydzi też należą!

Podniósł się wrzask, ktoś zamachnął się na niego laską, czyjeś ręce zaczęły go szarpać za rękawy. Padały okrzyki:

– Żydowski pacholek!

– Prydupnik Piłsudskiego!

– Klawisz z ambicjami!

Bronisław cofnął się o krok i sięgnął do kabury.

– Jestem urzędnikiem państwowym na służbie! – ryknął. – Precz mi z drogi!

Miał jednak trudności z dobytciem broni, bo w tłoku ściśnięto mu łokieć. Z kilku stron zaczęli nadbiegać młodzi ludzie, ale stawali dokoła z niepewnymi minami, nie wiedząc dobrze, o co chodzi. Szybko jednak wywiązała się między nimi awantura, należeli bowiem do przeciwnych obozów politycznych.

Poszły w ruch pięści, czyjś kapelusz został zdeptany w tłoku, ktoś ukląkł w śniegu i usiłował zatamować krew lejącą mu z nosa. Z daleka słysząc było przenikliwe gwizdki, dwaj policjanci nadbiegali z łomotem butów.

– Proszę się rozejść! – krzyknął masywny przodownik, wymachując pałką. – Rozejść się!

Było ich jednak za mało, podczas gdy biorąca się za łby gromada liczyła sobie już ze dwudziestu rozjuszonych młodzieńców, a i starsi nie zamierzali usłuchać wezwania. Migwały w powietrzu laski i parasole. Przeciwnicy Bronisława darli się wniebogłosy:

– Obraził nasze uczucia narodowe! Proszę go aresztować!

Inni krzyczeli:

- Precz z endecją!
- Na odwach z nimi!
- To napad bandycki!

Korowski wyszarpnął colta z kabury, odciągnął kurek i wzniosł lufę ku górze. To w końcu otrzeźwiło napastników, choć zapowiadało tylko strzał w powietrze.

– Patriotów mordują! – wrzasnął czerwonolicy grubas w futrzanej capce. – Ratunku!

Tymczasem widocznie ktoś zdążył zawiadomić komendę garnizonu, co poskutkowało pojawieniem się patrolu żandarmerii. Wspólnie z policjantami żołnierze powalili na ziemię kilku najbardziej rozszałych awanturników. Reszta jakby otrzeźwiała, uspokoiła się jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej.

– A teraz – rzekł stanowczo barczysty policjant – proszę mi wyjaśnić, o co tu chodzi.

Bronisław stwierdził z ulgą, że jest to znany mu przelotnie były podoficer Trzeciej, który kiedyś zaczepił go na ulicy z pytaniem o przeszłość wojenną.

– Panie przodowniku, ci panowie obrazili publicznie prezydenta Rzeczypospolitej, a gdy zaprotestowałem, rzucili się na mnie.

– A kto wyciągnął pistolet?! – wrzasnął tryumfalnie śledziennik.

– Nie pistolet, tylko rewolwer – zareplikował sucho Korowski. – Zrobiłem to w obronie własnej.

Napotkał porozumiewawcze spojrzenie policjanta, który zadecydował:

– Tak, czy tak, panowie wywołali zbiegowisko i bójkę. Proszę wszystkich na posterunek, spisujemy protokół.

Wśród obecnych dało się odczuć niejake zmieszanie.

– Panie władzo, po co zaraz na posterunek? I po co spisywać? – powiedział pojednawczo drobniutki mężczyzna w wyszarzanym paltociku. – Ot, zdenerwowaliśmy się i tyle.

– Więc jak? – policjant rozejrzał się znacząco po obecnych. – Panowie się rozejdą, czy będą nam towarzyszyć?

Otoczający Bronisława stateczni obywatele zaczęli powoli usuwać się na boki. Grupka stopniała, jeszcze ktoś próbował pertraktować w sprawie zatrzymanych młodzieńców, ale bez rezultatu.

– Czy pan naczelnik składa skargę o próbę pobicia? – spytał policjant.

Bronisław machnął ręką.

– Daj pan spokój! Mam ważne spotkanie z prokuratorem, brakuje mi tylko dodatkowego zawracania głowy.

Przodownik zasalutował, Korowski odpowiedział tak samo i chowając broń do kabury, odszedł. Kiedy obejrzał się po chwili, zobaczył, że ostatni uczestnicy bijatki oddalają się potulnie w towarzystwie stróżów prawa.

Sekretarka prokuratora na jego widok zerwała się na równe nogi i zapukała nerwowo do drzwi gabinetu. Jej szef rozmawiał właśnie przez telefon. Jego wąska, jakby wycięta z szarego papieru twarz miała wyraz irytacji i konsternacji zarazem. Wskazał gościowi krzesło, po czym odłożył słuchawkę i zapytał kwaśno:

– Co to, jak słyszę, pan naczelnik grozi ludziom na ulicy bronią służbową?

– No tak, już zdążyli donieść.

– Panie prokuratorze, zostałem napadnięty przez grupę osobników, którzy obrzucali obelgami głowę państwa. Mam na to świadków. Powstało zbiegowisko, zaczęto mnie szarpać, wywiązała się bójka między przypadkowymi przechodniami. Interweniowała policja i żandarmeria. Ja tej awantury nie wywołałem, chciałem tylko przejść. A rewolwer nie jest nabit, może pan sprawdzić – zakończył Bronisław z naciskiem.

Prokurator przez chwilę ważył coś w myśli, w końcu rzekł:

– A co ze sprawą, w której chciał pan się ze mną widzieć?

– Chciałbym pana prosić o wsparcie moich wysiłków, mających na celu poprawę warunków w więzieniu.

Korowski streścił swoje „aide-memoire” (nauczył się już dawno tego słowa z lektury broszur prawniczych), kładąc nacisk na przeludnienie cel i zbyt niskie stawki wyżywienia. Podkreślił, że złe warunki zmniejszają wychowawczy walor kary, bo więźniowie czują się dodatkowo i niesprawiedliwie pokrzywdzeni.

Prokurator wysłuchał go do końca, po czym powiedział powoli:

– Tak, zdaję sobie sprawę, że to wszystko wykracza poza intencje kodeksu. Z drugiej strony wiemy obaj, jaka będzie zapewne odpowiedź ministerstwa. Czy sądzi pan, że warto walczyć z wiatrakami przy tak ciasnym budżecie? Zresztą... Czego pan po mnie oczekuje?

– Tylko poparcia dla mojego pisma.

– Dobrze. Choć to nie jest wcale takie proste, jak pan chyba wie, prawda?

Korowski skłonił głowę, starając się nie okazać radości: po raz pierwszy jego elaborat miał pójść do stolicy zaopatrzony w oficjalną akceptację prokuratora!

– A co do tego zajścia – rzucił dygnitarz mimochodem – to proszę unikać na przyszłość podobnych starć. Najlepiej udawać, że się nie widzi i nie słyszy, obejść zbiegowsko i tyle.

Zaledwie Bronisław wyszedł na ulicę, usłyszał okrzyki gazeciarzy:

– Dodaa... nadzwyczaa! Manifestacje w Warszawie!

Wysupłał z portfela pieniądze i już po chwili wiedział, że prezydent został zaatakowany przez młodzież studencką, która obrzuciła go pecynami śniegu i usiłowała nie dopuścić do sejmu na zaprzysiężenie. Sytuacja wyglądała niewesoło.

Następne dni były jeszcze bardziej dramatyczne, w prasie roiło się o podburzających artykułach. Trwała istna nagonka na Narutowicza. Przemówienia do manifestantów miały charakter jednoznaczny, równocześnie krążyły pogłoski, że Marszałek może wyprowadzić wojsko na ulice. Maria wróciła ze szkoły roztrzęsiona – usłyszawszy obelżywe uwagi kolegów pod adresem Piłsudskiego i Narutowicza, wdała się w spór polityczny.

– W końcu wygarnęłam im, że gdyby nie Komendant, nie mieliby swoich posad, a co najwyżej mogliby uczyć po rosyjsku. I że miarą patriotyzmu jest szacunek dla głowy państwa, a nie szowinizm i klerykalizm.

Bronisław popatrzył na nią uważnie:

– Wiesz chyba, czym ci to grozi?

– Wiem! Znam poglądy panów z kuratorium!

– I nikt cię nie poparł?

– Dwie osoby. Jedna z nich to rabin Sokalski. Reszta siedziała cicho. Nie masz do mnie żalu?

Korowski zerwał się i chwycił ją w ramiona.

– Staruszko moja kochana, ja cię ozłocę! Nie wolno pozwalać temu motłochowi, żeby bezkarnie lżył Komendanta i pierwszego prezydenta państwa. Nie po to tylu naszych kolegów zginęło. A i nie przymierzając, nie po to my poszliśmy na poniewierkę!

Atmosfera robiła się coraz gorętsza. Na ulicach wybuchały awantury podobne do tej, w której wziął udział Bronisław, tajemniczy „ktoś” wytlukł szyby w lokalu partyjnym PSL „Wyzwolenie”, na peryferiach doszło do wymiany strzałów rewolwerowych. Po mieście krążyły patrole. Jacyś przyjezdni młodzieńcy z deklami korporanckimi pobili żydowskiego pośrednika od handlu nieruchomościami, zaś komuniści rozklejali proklamacje skierowane przeciwko państwu burżuazyjnemu i sławiące dyktaturę proletariatu, która miała zapewnić ludowi pracującemu raj na ziemi. Niekiedy

doprowadzano kogoś na posterunek pod zarzutem zakłócania porządku, ale wszystko kończyło się na mandatach, zwykle zresztą nie płaconych.

Później trudno było uwierzyć, że to wszystko trwało tylko kilka dni.

Szesnastego grudnia wieczorem w biurze naczelnika zadzwonił telefon. Bronisław, który siedział sam, pogrążony w papierach, podniósł słuchawkę i warknął:

– Halo!

– Czy to zakład karny? – spytał głos skądś mu znany.

– Tak, a kto mówi?

– Czy to może pan naczelnik Korowski? – nalegał tamten.

– Proszę pana, jeżeli ktoś dzwoni do instytucji państwowej, ma obowiązek przedstawić się!

– Wuju, tu Lucjan – rzekł intruz nieco pokorniej. – Lucjan Rożeński.

– A, to ty – odparł Bronisław bez entuzjazmu. – Co się stało, że dzwoniś o tej porze? Mogłeś nikogo nie zastać.

– Wuju, oni zabili prezydenta. – Głos Lucjana załamywał się w drewnianym wnętrzu rozmównicy. – Te świnię dopięły swego.

Wiadomość wydawała się tak potworna, że aż niemożliwa.

– Skąd wiesz? – Korowski ledwo mógł poruszać zdrtwiałymi ustami.

– Byłem tam. Jestem w Warszawie służbowo, znajomy dał mi zaproszenie na otwarcie wystawy w Zachęcie. Jakiś facet strzelił do prezydenta z bliska, zabił go na miejscu. Ja... chciałem... ale nie mogłem odpiąć kabury... Oni wszystko zniszczą! – zakończył Lucjan z łkaniem.

Bronisław wyłuskał drżącą ręką papierosa z drewnianej szkatułki, zaczął szukać na oślep zapalek. Nie mógł ich znaleźć, zaklął i kopnął krzesło. Ulżyło mu to na chwilę.

– Złapali go? – spytał ochryple.

– Tak. Nawet nie próbował uciekać. Coś tam gadał, że chciał zabić Komendanta, ale zmienił zamiar. Wuju, co ja mam robić?

– Nic. Wracaj do hotelu, czy gdzie tam nocujesz i wsadź łeb pod kran.

– Dobrze. – Głos Lucjana brzmiał matowo i ponuro. – Może uda mi się wpaść do was w przyszłym tygodniu.

– Nie powiem ci „dobrej nocy”, bo to by zabrzmiało jak drwina. Bywaj!

Zaledwie zdążył odłożyć słuchawkę, telefon zadzwonił ponownie. Tym razem był to Pełkowski.

– Panie naczelniku, już pan wie?

– Tak. Dzwonił do mnie z Warszawy kuzyn.

– U nas też był przed chwilą ktoś z rodziny. Boże, co za straszna zbrodnia! Kto mógł się spodziewać?

Bronisław powstrzymał cisnącą mu się na usta uwagę, że przygotowania do morderstwa trwały od wielu dni.

– Panie Hieronimie, zarządzam ostre pogotowie. Wysyłam gońca do dozorców, którzy nie są na służbie. Zechce pan przyjść i nadzorować wydawanie dodatkowej amunicji.

Pełkowski złapał oddech gwałtownie.

– Ale, panie naczelniku, czy nie należałoby poczekać na dyrektywy z Departamentu? I w ogóle, dlaczego?

– Bo nie wiadomo, do czego te ścierwa mogą się jeszcze posunąć! Oczekuję pana w ciągu pół godziny! – warknął Bronisław i rzucił słuchawkę.

Znał polityczne sympatie zastępcy. Jego reakcja pozwalała przypuszczać, że zacznie się przyklepywanie sprawy. A tymczasem okazja do rozruchów była znakomita, o czym świadczyło już przedtem zastrzelenie w Warszawie chorążego manifestacji PPS-u i pobicie Limanowskiego.

Następne dni upłynęły jak w gorączkowym śnie. Pogłoski o anonimach, jakie miał dostawać prezydent po wyborze na urząd, podejrzana bierność ministra spraw wewnętrznych i policji, przychylność rozmaitych mówców wobec awantur ulicznych, obelgi i oszczerstwa, znane już z prasy, ale kolportowane po ulicach w formie daleko ostrzejszej – wszystko to układało się we wzór planowego przejęcia władzy, być może i zamachu stanu. Czemu do tego nie doszło? Czyżby jednak chciano tylko zmusić Narutowicza do ustąpienia, a strzały w Zachęcie otrzeźwiły inspiratorów? Nad wszystkim unosił się posępny cień człowieka, który mógł położyć kres chaosowi siłą, ale konsekwentnie dążył do realizacji przyjętej raz na zawsze idei państwa demokratycznego...

Targany takimi rozważaniami, Bronisław spotkał przypadkiem owego policjanta, który interweniował przy awanturze.

– No co, panie przodowniku? – rzekł posępnie. – Pańscy koledzy nie popisali się w Warszawie.

Na to stróż porządku rozłożył ręce.

– Był podobno cichy zakaz rozpędzania tych gówniarzy. A poza tym, sam pan wie, jak to w służbie państwowej, jeden ma takie poglądy, inny inne. Gdyby to ode mnie zależało...

Tu zacisnął potężną dłoń w pięść. Korowski roześmiał się i tak się rozstali.

Zaproszenie na obiad do Beszyckich, które padło jakiś tydzień wcześniej, pozostało niezrealizowane. Wizytę odwołał Bronisław, ale pan Kazimierz także uznał, że wobec żałoby narodowej wypada podkreślić własną postawę obywatelską i powiedział:

– Ja, wie pan, nie byłem zwolennikiem nieboszczyka prezydenta, ale stało się coś potwornego. Rzeczywiście, odłóżmy nasze sprawy towarzyskie na później.

Święta były u Korowskich smutne. Maria nie zaintonowała kolęd, nie zapalono świeczek na choince. Pani Klapkowa, która zdawała się egzystować za jakąś zasłoną z rozmyślań, zapytała nagle przy wieczerzy wigilijnej:

– Bronek, czemu ten człowiek zabił prezydenta?

Zapadło milczenie. Maria poczuła się winna: dbali o starszą panią, ale właściwie z nią nie rozmawiali, jakby nie należała do ich świata. Ogarnął ją wstyd.

Bronisław zaś odrzekł, patrząc w talerz:

– Mamo, ja zadaję sobie to samo pytanie. Nienawiść nie jest wystarczającym wytłumaczeniem takiego postępu. Tu leży coś głębszego.

Nie dodał, że według jego gorzkich doświadczeń, natura ludzka jest z gruntu zła i że on sam nie wie, jak można by nad tym zapanować, bo instytucje i słowa są zbyt słabe.

Krzysztof Choiński

Anna Nasiłowska

Okruchy pamięci

(fragment nowej książki)

Powrót do Warszawy

Nie wiem, jak mój przyszły tata wracał z Niemiec. To, co wydarzyło się przedtem w obozie, a przede wszystkim fakt, że dostał zwolnienie, przybrało obrót zbyt nieprawdopodobny, aby późniejszą uwagę przykuło coś w miarę normalnego, jak jazda pociągami; nie była to jednak normalna podróż, musiał przebić się przez III Rzeszę, pogrążoną w trudnościach gospodarczych ostatniego okresu wojny, wyraźnie już nadgryzioną przez alianckie ataki lotnicze na miasta, zwłaszcza na linie kolejowe. Z pewnością dokuczało zimno, wywieziono go w sierpniu, wracał w listopadzie. Bez odpowiednich butów, ubrania. Pierwszeństwo na torach miały przewozy dla armii. I nie bardzo wiedział, dokąd jedzie. Dokąd uda mu się dostać, gdzie wywieziono mieszkańców Warszawy. Jakimś cudem udało mu się odnaleźć matkę – Irena przebywała w Łowiczu. Według dzisiejszych danych historycznych na terenie powiatu łowickiego do końca listopada 1944 znalazło się 36 tysięcy warszawiaków. Przyjmowały ich także okoliczne wsie.

Irena była sama. Nadal nie wiedziała nic o Romanie, zanim Jan jej nie odnalazł, nie wiedziała też, co stało się z młodszymi synami, że znaleźli się w Essen. Nie знаła losu swojej rodziny w Warszawie, domyślała się tylko, że jej młodszy brat Józef walczył w powstaniu.

Właściwie do dziś nie wiadomo, co się stało z Józefem. Po wojnie żona Józefa, zwana czule Janeczką, rozpytywała kogo się dało i usłyszała, że walczył na Żoliborzu, dowodził oddziałem, otrzymali rozkaz przebicia się do Puszczy Kampinoskiej, ale im się nie udało i wszyscy z tego oddziału zginęli. Gdzie? Nie wiadomo, nie ma świadków. Przepadli. Poszukiwania Janeczki miały całkiem konkretny cel, wybuch powstania zastał ją z córką, Moniką, pod Piasecznem („On wiedział! Zrobił wszystko, żebyśmy tego lata wyjechały z Warszawy... Żeby nas chronić...”). Tam poznała mężczyznę, który jej pomagał, wynikała z tego gwałtowna miłość. Chcieli się pobrać jak najszybciej! (Oczywiście pod warunkiem, że Józef zginął.)

Józef nie ma grobu, nigdy nie znaleziono ciała, jest tylko symboliczny napis na Bródnie, zamówiony przez mojego tatę, a odnowiony przeze mnie. Znam go z jednego, zachowanego zdjęcia, zrobionego podczas okupacji. Stoją na nim we troje: Józef, promienna Janeczka i niezbyt ładne dziecko, Monika. Janeczka dożyła prawie 100 lat, pod koniec była w domu weteranów powstania. Jej córka zmarła w młodym wieku.

Janeczka jeszcze w 1945 roku załatwiła uznanie męża za zmarłego. Jakoś rodzina Józefa nie wzięła jej za złe szybkiego powtórnego małżeństwa, nadal była „kochaną szwagierką”, promyczkiem.

– Myśmy wtedy strasznie chcieli żyć! – powiedziała mi po latach. – Nawet nie wyobrażasz sobie...

Możliwe, my wszyscy średnio lubimy życie, wstajemy rano i od początku a to pogoda nam się nie podoba, a to coś pobolewa, potem nie jesteśmy zadowoleni z siebie i do tego mamy dużo kłopotów, a jeszcze sukcesów brak, albo nie na miarę oczekiwań, wieczorem zaś trudno zasnąć... oni tego wszystkiego nie czuli, byli w euforii, że im się udało. Żyją. Byli wyjątkiem od typowego losu. Normalnie – znaczyło wtedy: zginąć.

Mój tata, gdy powstało Muzeum Powstania Warszawskiego, zgłosił wuję do bazy powstańców w nadziei, że dowie się więcej. Ale to było już niemożliwe. Jest tam lakoniczna informacja: Dubniak Józef, syn Szczepana i Heleny, ur. 18.03.1905 w Warszawie, podporucznik, AK, zamieszkały podczas wojny przy ul. Karolkowej, przydział: II Obwód Żywicieli. I data śmierci: 2.08.1944. Ta ostatnia informacja nie pochodzi od mojego taty. Wstawił ją ktoś zajmujący się bazą danych; możliwe, że taka data znalazła się w wystawionym po wojnie urzędowym akcie zgonu. My sądziliśmy, że udało mu się przeżyć dużo dłużej, nawet do października, bo tak by było lepiej, podarować wujowi choć miesiąc, choć dwa miesiące albo trzy, żeby jeśli już miał zginąć, to nie na początku, ale jakoś później, doświadczywszy euforii pierwszych dni powstania, a potem trudów walki.

Z babcią Ireną nie dało się rozmawiać ani o Józefie, ani o wszystkich zdarzeniach w Warszawie. Od razu wpadała w lament:

– O, powstanie, powstanie, tyle ludzi zginęło... I wszyscy!

Nigdy jej komentarz nie posunął się poza te dwa niepełne zdania. One zagrażały drogę jakimkolwiek pytaniom, także o jej osobisty los. Jakoś z Pragi trafiła do Łowicza, a więc pewnie przez tak zwany Dulag 121, czyli niemiecki obóz przejściowy (Durchgangslager) w Pruszkowie, gdzie ludność Warszawy dzielona była na tych, którzy byli wywożeni do obozów koncentracyjnych, tych, co trafiali do obozów pracy, i resztę, do

rozlokowania w okolicy. Niektórym udawało się stamtąd uciec, a niektórzy trafili do Łowicza jako mało wartościowi dla gospodarki Rzeszy. Ale to był zwykły los mieszkańców Warszawy, i nic do opowiadania, wszystko „normalnie”.

Miejscowi z Łowicza udzielali bardzo dużej pomocy, ale i tak nie bardzo było jak żyć.

Janek, korzystając ze swojego „glejtu”, wystawionego w Essen, mógł podróżować. Jeździł wtedy między Łowiczem a Krakowem, usiłując handlować walutą.

– Ale wiesz, do tego, żeby na tym naprawdę zarobić, trzeba mieć prawdziwy talent! – opowiadał mi.

Odczekał, aż się roześmiałam i dodał:

– Znacznie lepiej wychodził mi handel sznurowadłami.

Niektórzy mieli buty, było więc zapotrzebowanie na sznurowadła.

Nie wiem, jak jego płuca, ale i tak leczenie nie było możliwe.

Dopiero w lutym 1945 roku mogli wyruszyć do Warszawy. Trochę pie szo, trochę jak się dało, furmanką, ciężarówką. To, co tam zastali, było szokujące.

– Pamiętam, że szedłem gdzieś na Woli, tam przy trakcie leżał jeszcze świeży trup w mundurze Wehrmachtu. I miał obrączkę na palcu, ludzie podchodzili, usiłowali ją mu zdjąć, ale im się nie udawało. A jak wracałem tą samą drogą, to ani obrączki nie było, ani palca...

– To straszne! – wykrzyknęłam. – Jak tak można...

Miałam wtedy kilkanaście lat.

– Nic nie rozumiesz. Taka właśnie jest wojna. Jak już nie żył – na co mu obrączka? A tak ktoś za to coś kupił, zjadł, przeżył. Choć jeden więcej się uratował.

Dziś wiem, że zwykle ci, co posuwają się do takich czynów, nie zaliczają się do najbardziej potrzebujących; wtedy przeraziła mnie po prostu wizja śmierci, która anuluje wszelkie życiowe zobowiązania, unieważnia obrączkę, sentymentalny znak zawartego małżeństwa. Na miejscu rodziny wyłania się NIC. Dorośli przeważnie nie rozumieją, co jest dla dzieci istotne.

– Ty jesteś całkiem powojenna – komentował tata.

Opowiadał tę scenkę ludziom ze swego pokolenia i wszyscy mieli podobne przeżycia, widzieli wielu zabitych, z którymi obchodzono się bardzo brutalnie i uważali, że to nic takiego – w porównaniu z winą wobec żywych, z tym, że się ich zabija. Zabijanie jest skandalem, a nie to, co potem. Potem jest wszystko jedno.

Na Woli, przy Tyszkiewicza – nic nie pozostało z dawnego zakładu Szczepana. Ludzie szukali przejść w kanionach ulic, w wąwozach między zwalonymi kamienicami. Dawne getto było po prostu wielkim morzem gruzów, pośród którego sterczał samotnie katolicki kościół św. Augustyna i wypalona fasada koszar wołyńskich. Tam chyba nawet nie poszli, zostali stamtąd wygnani w 1940. To już nie była dzielnica cudów, gwaru, interesów, ale miejsce grozy, getto, a potem wielkie ruiny, w których hitlerowcy rozstrzeliwali podejrzanych o różne winy wobec okupanta. Bliśko było, brali z Pawiaka, przywozili z Szucha. Żeby teraz żyć normalnie w niektórych miejscach Warszawy, trzeba mieć kiepską pamięć i dużą odporność.

Janek zawędrował wtedy na plac Zamkowy i tam okazało się, że ludzkie zwłoki mogą nie budzić litości, ale moc wzruszania mają symbole.

– Król Zygmunt leżał na bruku, bez krzyża, uszkodzony. I wiesz, wielu zabitych ludzi podczas tej wojny widziałem, ale powalony król był najsmutniejszy.

Gdy zdarza mi się chwilę przystanąć na placu Zamkowym albo gdy czasem patrzę w kierunku kolumny Zygmunta z narożnego pokoju w Domu Literatury, przypominam sobie: I ty leżałeś, Królu! Tak się składa, że ten narożny gabinet był kiedyś gabinetem Iwaszkiewicza, a teraz – w zasadzie moim, ale przecież nie na zawsze. I najcenniejszy jest w nim widok z okna na kolumnę Zygmunta.

Zimą 1945 roku wszystkie mosty były wysadzone, ale jeszcze w lutym na Pragę można było przejść na drugi brzeg Wisły po lodzie. Dopiero wiosną stworzono prowizoryczną przeprawę, najpierw łodziami, potem tymczasowym mostem.

Gdy dotarli na Targową – jakby wkroczyli w inny pejzaż. Tam były domy, toczyło się gorączkowe życie. Warszawa, ta z lewego brzegu, zwykle wyniosła wobec „gorszej” prawej strony, musiała się z nią przeprosić. Na Pradze wszystko organizowało się na nowo. Okazało się, że mieszkają w samym centrum, co prawda chwilowym, ale prawdziwym. Bazar Różnickiego był wszystkim, miejscem handlu wymiennego, restauracją z wyszynkiem, agorą i agencją informacyjną, rozpowszechniającą najświeższe wiadomości, nie zawsze sprawdzone. Do domu wracali sąsiedzi. Dopiero teraz, w lutym 1945 Janek mógł przekazać, co stało się z grupą mężczyzn, zabranych 9 sierpnia 1944: że byli w obozie w Essen, pracowali w fabryce i kto jak się miał jeszcze w listopadzie. Do rodzin nie dotarły wcześniej żadne informacje.

Irena wzięła się energicznie za sprawy życiowe. Nareszcie mogła zadbać o to, by Janek trochę choć przybrał na wadze.

W kwietniu Janek zapisał się do prywatnego Liceum F. Łuczyńskiego na Pradze. Był to przyspieszony kurs, na który przyjmowano wszystkich jak leci. Niektórzy podczas wojny trochę się uczyli, inni wcale; ich wojenne losy były typowe, walka, ukrywanie się, więzienie, tragiczne przeżycia; wielu chorowało, gruźlica nie była niczym wyjątkowym. Kolega Zbyszek niedawno „wyszedł z lasu”, czyli opuścił partyzantkę i nie bardzo mógł się przyzwyczaić do cywilnego życia i do tego, że nie powinien nosić broni. Inny Zbyszek był w obozie koncentracyjnym Stutthof, a potem przeżył aliancki nalot dywanowy na Drezno i udało mu się nie zginąć. Urszulka była ukrywającą się dawną łączniczką oddziału AK w Mińsku Mazowieckim: nie ujawniła się, o wszystkim zaczęła opowiadać dopiero po latach, najpierw wyłącznie wśród zaufanych. Gdy usłyszałam od szwagra Mrożka, Andrzeja Chącińskiego o wojennych losach siostr Obrembianek, czyli jego żony Gabrieli i jej siostry bliźniaczki, Mary, pierwszej żony Mrożka, od razu rozpoznałam tę historię: w Mińsku Mazowieckim plan „Burza” został wprowadzony w życie, zanim wkroczyła Armia Czerwona, na jeden dzień władzę przejęła Armia Krajowa. Potem doszło do rozmów w sprawie pokojowego przekazania miasta i Armia Krajowa zobowiązała się do zdania broni. Zanim to nastąpiło, pułkownik wezwał łączniczki i powiedział im: „Uciekajcie. Nic nie wiecie, nigdy was tu nie było”. Tak zrobiły, dzięki temu uniknęły aresztowania. Nie ujawniły się do 1989 roku, a Mara nigdy, bo od 20 lat nie żyła. Musiały się znać z Urszulką. Ciekawą postacią była Irena Jewasińska, którą znałam najlepiej. Była dwujęzyczna, po rosyjsku mówiła tak samo dobrze jak po polsku, a może nawet lepiej. Jej matka była z domu Sołohub; ta rodzina, której członkowie w historii czasami opowiadali się po stronie Rzeczypospolitej, wywodziła się z rodu książęcego na Rusi; reprezentował ją także rosyjski poeta symbolista Fiodor Sołogub, który nie poparł rewolucji i odsunięty na margines zmarł w 1927 roku w Moskwie. Irena uważała, że Janek powinien koniecznie nauczyć się rosyjskiego i nie ma to nic wspólnego z wszechobecnością Armii Czerwonej i stosunkiem do nowego ustroju. Mam jej książkę, którą tata widocznie od niej pożyczył i zapomniał oddać, a teraz oboje nie żyją. To *Gorie ot uma*, czyli po polsku (w wersji Juliana Tuwima) *Mądremu biada* Gribojedowa, tekst wydany w Moskwie w 1910 roku, zapisany w dawnej ortografii, ze znakami, które zgodnie z wprowadzoną po rewolucji reformą upraszczającą zapis już w rosyjskim nie są używane. Pamiętam, jak na starym cmentarzu tata

pokazywał mi i tłumaczył reguły używania tych znaków, a ja się trochę obruszałam, po co mi to. On jednak chciał to znać.

Wszyscy oni wybrali w przyszłości praktyczne zawody, mężczyźni zostali inżynierami, Irena była dentystką, potem nawet chirurgiem dentystrycznym, Urszulka – farmaceutką. Kołatały się w nich jakieś inne marzenia, Irena kochała teatr, chciała zostać aktorką, a Urszulka w przyszłości zaczęła publikować wiersze. Wszyscy spotkali się w jednej klasie, która działała trzy miesiące: kwiecień, maj i czerwiec 1945. Zaprzyjaźnili się na całe życie. W lipcu była matura.

Janek, ponieważ podczas wojny uczył się, nie miał kłopotów. Koleżanki zwróciły uwagę, że jest odcytany, ciekawy wielu spraw i bardzo dobrze pisze. Jego wypracowania cechowała klarowność, celna argumentacja, bogaty język. Była w klasie Zosia, pani Zofia Gołębiowska pracowała potem w „Twórczości”, zajmowała się redakcją językową, a więc to ona czytała przed drukiem teksty Iwaskiewicza, Strykowskiego, Brandysa, nanosiła uwagi, domagała się zmian, wstawiała przecinki i przyznawano jej rację, choć w „Twórczości” drukowały wtedy same tuzy. Pracowała jeszcze w latach osiemdziesiątych, gdy ja zaczęłam publikować w „Twórczości”. Nie trudno było mnie skojarzyć, to samo nazwisko, niewątpliwe podobieństwo, poza tym pani Zosia mieszkała na Saskiej Kępie, znała też moją mamę.

– Że też ten Janek został inżynierem... Nie musiał. Jakie marnotrawstwo talentu! On miał takie lekkie pióro, dowcip, styl! – mówiła do mnie.

Słuchałam oszołomiona, bo dla mnie mój tata musiał być inżynierem i był nim od zawsze, to znaczy od kiedy pamiętam. Dla ludzi z literackiego kręgu szczytem wydaje się pisanie do dobrych czasopism i publikowanie książek, ale są inne szczyty. Dla inżynierów najważniejszy jest konkretny efekt, jakaś konstrukcja, rozwiązanie problemu albo odkrycie. Kim mój tata mógł zostać? Tak, łatwość jasnego i nienudnego pisania była jego silną stroną, zdawał sobie z tego sprawę. Jaki użytek z tego zrobić? Mógł zostać dziennikarzem, ale i nie mógł: w Polsce po II wojnie światowej? Ten zawód wiązał się z poważnymi ograniczeniami politycznymi, wymagał wchodzenia w układy i giętkiego kręgosłupa, tak było zawsze, ale szczególnie w minionej epoce. Przez krótki czas byłam dziennikarką i uciekłam. Czasami, przez moment, gdy wyłania się jakaś szczególna sprawa – żałuję, ale to mija.

Anna Nasiłowska

Alicja Patey-Grabowska

Wehikuł czasu

Czy to wehikuł czasu? Ten wagon metra rozbrzmiewający zgrzytem, łoskotem, kołysaniem jak wierzchołki drzew na wietrze.

Pożółkła fotografia kobiety w kapeluszu z dużym rondem ocieniającym twarz i duże, wyraziste oczy, udekorowanym pękiem kwiatów i ptasim piórem, ściśniętej w pasie (jakże nienaturalnie wąskim!) gorsetem, z białą koronką otaczającą szyję i z drobną dłonią w śnieżnej do łokcia rękawicze, ściskającą rączkę parasolki, sfrunęła ze skózanego, brązowego albumu na podłogę.

Poszybowała jak ptak, wpadła do wagonu na stacji metra i przez rozsunięte drzwi wylądowała na pustym miejscu zwolnionym przez zażywnego mężczyznę.

I nagle postać na papierze zaczęła przybierać barwne, trójwymiarowe kształty. Ucieleśniła się.

Kobieta z Fotografii (zdjęcie z 1904 r.) rozejrzała się ze zdziwieniem.

Długi wagon pełen siedzących postaci, młodych mężczyzn i kobiet przedziwnie ubranych.

Oto dziewczyna o ładnej, okrągłej twarzyczce w niebieskich, płócienych spodniach pełnych dziur.

Dziury w oczach Kobiety z Fotografii zaczęły się powiększać, powielać, wypuklać krągłe kolana wystające jak kapelusze grzybów z mchu.

Dziur coraz więcej, więcej. Kształty dziewczyny rozmywają się, rozplývają. Cała stała się jakby jedną, wielką dziurą.

– Och! – krzyknęła Kobieta z Fotografii.

Ale siedzące postacie nie zwracają na nią uwagi. Wszyscy jakby w transie spoglądają na czarne, prostokątne pudełka. Wielu z nich rysuje coś palcem po powierzchni takiego przedmiotu.

Oto młoda para *vis a vis*. Nie odzywają się do siebie, nie trzymają za ręce. On wpatrzony w pudełko wodzi po nim palcem. Ona tak samo. Jak urzeczeni wbijają wzrok w to dziwne urządzenie.

– Gdzie ja jestem? – pomyślała z przerażeniem Kobieta z Fotografii. – Chcę do mojego eleganckiego męża w białym kapeluszu, z ciemnym wąsem

zadartym zawadiacko do góry dzięki zakładanej na noc bindzie, w zawsze wyglansowanych, błyszczących trzewiakach.

Grzecznego, dżentelmeńskiego.

– Tak, moja duszko. Padam do nóżek, duszko – i cmok w rękę. Cmok ponad wierzchołek długiej, białej rękawiczki. Cmok ze wzrokiem uniesionym ku jej twarzy, w pochyleniu wyrażającym szacunek, rewerencję należną kobiecie.

Patrzy przerażona na mężczyzn w rozchełstanych koszulach, ukazujących wytatuowany tors i gęste owłosienie.

Jest gorąco. To prawda. Ale jak mężczyzna może tak się kobiecie pokazać? Nie do pomyślenia w miejscu publicznym, w dorożce, a cóż dopiero w salonie. Nawet ci umorusani, noszący węgiel do piwnicy, aby w zimę piec kaflowy był gorący, mają bluzy zapięte pod szyję.

Zrobiło się jej słabo.

Uciekać stąd. Uciekać!

– Gdzie ja jestem? Czym jadę? Skąd ten zgrzyt? Jacy to ludzie? – myślała w popłochu.

– Zabierz mnie stąd! Zabierz mnie, droga praprawnuczko!

Anna podniosła z podłogi fotografię praprababki i włożyła z namaszczeniem do skórzanego albumu, który dostała od babci Haliny.

Zamyśliła się. Piękne to były czasy, ta *la belle époque*, jakie stroje! Ale nie chciałabym cofnąć czasu. Znaleźć się tam...

I spojrzała z aprobatą na swoje niedawno kupione džinsy z dużymi dziurami na kolanach.

Krzysztof Rudziński

Nadgryzanie Gryzonii

(fragment jednego z rozdziałów)

Stacyjka

(odrestaurowana)

Jest czas wyjątkowy pustych godzin, upływających jedna za drugą po stacjach kolejowych świata; pusty czas pomiędzy odejściem poprzedniego, a wjazdem kolejnego z pociągów – nie mający co z sobą zrobić... i przychodzą obok pomysły... jak go napoczynając, czym wypełnić i jak spożytkować...

Nie inaczej jest i na naszej stacyjce w Zalesiu Dolnym... i tutaj ten pusty czas snuje się obok torów i towarzyszy do każdej mysiej dziury... milczący i niezagospodarowany... czas niezmaconej niczym bezdennej nudy... jaka tylko może się lęgnąć w upalne popołudnia z pustynnego klimatu tych pustych godzin. Weźmy go w karby i uprawnijmy... zobowiązmy... niech opowie jedną z takich godzin na tej stacji.

Napoczytam go pod jednym z dwóch tutejszych semaforów, tym przy wjeździe od strony Piaseczna, przy zwrotnicy decydującej o tym, czy skład potoczy się prosto po torze przy peronie drugim – jak to przeważnie bywa – kiedy nie ma mijanki. W przeciwnym bowiem razie, ten który przybędzie pierwszy, czeka na torze przy peronie pierwszym, najbliższym budynkowi naszej stacji.

Ramię semafora jest teraz opuszczone – więc nie wjeździe tu żaden pojazd szynowy – można sobie chodzić po torach i wzdłuż peronów na przełaj po całej stacji – i nic... tylko cisza... przechadza się czas... krok w krok i spoczywa w końcu ze mną na którejś z tutejszych ławek... gdzie jego pora... Mija tak nieraz godzina, za godziną, jedna, czy druga – lokalnego czasu kolejowego – na wszystkich stacjach dłużąca się tak samo jak tutaj... jeszcze daleko do przyjazdu kolejnego pociągu; ale coś się zaczyna zmieniać – przechylając się w drugą stronę... i zaczyna wracać jak wahadło po maksymalnym wychyleniu... Czuje się, że to już ostatni dzwonek – rzucić

okiem na bocznice manewrową; wejść pomiędzy spoczywające tam po podróżach składy towarowe, zaglądając do budek brankardów. – Tych pokoi hotelowych na kołach, dla personelu na liniach nocnych – z biurkiem, lampą i łóżkiem do spania, i z piecykiem węglowym na zimowych trasach. Iść między wagonami w stanie spoczynku, zesłanymi tam na zesłanie i przeciskając się pod nimi, odnajdywać ślady towarów pogubionych podczas dawniejszych przeładunków – kielkujące zboża pośród chwastów, zardzewiałe nakrętki śrub pośród wiercących w nosie narkotyczną wonią oleju kreozotowego, impregnowanych nim drewnianych podkładów między szynami tego ślepego toru. Kończącego się ziemnym nasypem z kozłem oporowym, na najdalszej rubieży stacji, przy przejeździe na ulicę Kopernika, koło kościoła. Ale wzrok, któremu nigdy dosyć – nie mogąc się napatrzeć – biegnie stąd dalej, poza zakręt w kierunku Zalesinka, by dopiero tam móc spocząć wreszcie pod semaforem, za punktem aptecznym przy Redutowej.

Tam to już zachodziliśmy z ciocią rzadko jak po lekarstwo i dlatego na tym zakręcie obfitości domysłów – jak wyglądał dalej świat – zmuszony jestem poprzestać, bo przy cioci dalej mi osobiście pójść się nie dało. A obiecywałem sobie, niejedno, bo od tamtego miejsca tor zaczynał bieć prosto – jak się to mówi – jak strzelił: i czybym strzelił ze swojego łuku, który dostałem niedawno na imieniny – czy z zaimprovizowanego moździerza, jak to się przytrafiało także w dziejach Zalesia – nie osiągnąłbym końca tego prostego toru, który dopiero pewnie tam się zakrzywiał z powodu kulistości Ziemi – jak to sobie wyobrażałem – za tą ostatnią stacją w Nowym Mieście. Obiecywałem sobie, że kiedyś nic nie mówiąc cioci, pojadę tym prostym torem, zatrzymując się solennie, kolejno na tych wszystkich stacyjkach, napełniając ten spoczywający na nich ich pusty czas, czasem Gryzonii. – Powiem tylko dziadkowi jak Wy wszyscy, którzy będziecie to czytać, powiedzielibyście swoim ukochanym Dziadkom czy Babciom, że idziecie zobaczyć za zakrętem ścieżki – jaki tam jest dalej świat?

Wtedy mogłoby się zdarzyć, że doszedłby was stamtąd przytłumiony odgłos nie do przebycia w innym czasie, niż czas dzieciństwa – zrazu nierozpoznany jeszcze i nieczytelny... zanikający w oddaleniu... urywającym się raz po raz... gwizdem; odgłos czegoś jeszcze dalekiego, lecz jak przeznaczenie nieuchronnego, dystingującego już, niczym herold, swoje przybycie. Przydawało to naszej stacji wystarczającego czasu do nabrania dystansu do tych wszystkich lokalnych zdarzeń, którymi mając niewiele do roboty pomiędzy przyjazdami kolejnych pociągów, zwykła była wypełniać swą powinność z prowincjonalnym pietyzmem i godnością. Tak

przeistaczała się odświętnie na krótką metę – na peronach i na zapleczu – dając zadość temu ruchomemu świętu, które za chwilę minie, przenoszone dalej w kierunku jazdy do analogicznych miejsc przystankowych. Wybiegam myślą naprzeciw każdej z tych kolejnych stacji – tej na wskroś świątecznej podróży jednym torem winienem poświęcić każdą z jej chwil, tak są dla mnie istotnie świętej pamięci, wszystkie one, doświadczane do głębi duszy i w niej zapisane zgłoskami szlachetnego kruszcu Gryzonii. Kursów jej waluty nie przeceniam, ale ich szlachetny blask mieni się wciąż rozniecany w mych oczach, tak jak i one same dawno przeżyte, zostawione na każdym metrze tych wąskich torów – niech wypełnione słowem moich wspomnień osiadną na każdym z jej miejsc i tchną w nie życie. A ilekroć powtarzane na tej stacji, niech odbiją jej wszystkie fatamorgany, aby opadając jak rosa, dały się oglądać w odeszłym kształcie nadchodzącym pokoleniom. Chciałbym jak najbardziej przedłużyć każdą z tych chwil w zatrzymanym czasie, jak ten, któremu się śni – szuka naprędce pretekstu dla odwołania – jeszcze choćby przez ostatni z jego niknących kadrów – tej gilotynującej go nieodwołalnie bezwzględnej jawy; uśmiercającego go raz na zawsze – jak to bywa nad ranem – piania koguta. I niczym przysłowio-
wą, przedwojenną zapalką, dzieloną na czworo, rozniecać go ponownie, oszczędzając na przeciąg, kolejnych chwil szczęśliwych.

Nieomylny znak – tak powszechny jak na dworcach kolejowych w carskiej Rosji, ostatni trzeci dzwonek tuż przed odjazdem pociągu, jak w teatrze – aby zdążyć wrócić na tę ławkę przy peronie pierwszym – na której widocznie zdrzemnęliśmy się tymczasem z ciocią Mitą – by razem z panem zawiadowcą w jego jak z dziecięcia zdjętej, czerwonej czapce, z lizakiem w ręku od pani Grzegorzówki – przyjąć tu kolejny wjazd pociągu upamiętniającym go wspomnieniem; pasującym tę naszą stacyjkę jedyną w dziejach, na tę najpiękniejszą ze wszystkich innych, jakie spotkałem w życiu.

Krzysztof Rudziński

Z przekładów Konrada Sutarskiego

Wiersze poetów węgierskich

Éva Finta

Tu była kiedyś Europa

(Volt itt Európa)

To miałyby być Europa?
 Ten ogryzek i ta łupina?
 Ta pogryziona przez myszy, te okruchy, robactwo,
 zgorzelina, sadza popalonych kościołów?
 śpiący na ulicach cudzoziemcy, odchody ich ciał,
 otrzeźwiający wstrząs
 odoru ich nóg, potu, niemytych zębów, cuchnącego oddechu,
 I jeśli nie to: gdzie podziało się światło, jego strzelistość,
 porywy ducha, świetlne iskry, pragnienia,
 centrum, środek, miara, ze wszystkiego to co najlepsze?

Na paryskim bruku przewala się obce tempo
 jego krew to czarny ogień
 lecz słodkim płomieniem też jego krew
 tak czekają swego losu cudowne wizje
 potworne a bezlitosne łaski pieniądza
 by spływały po nim jak obfity deszczami monsun
 jak metafizyka dobrodziejstwa dobrobytu
 ucieleśniona litość
 przykrywająca rany Chrystusa.

28.08.2022

Éva Finta – Urodzona w 1954 r. na Zakarpaciu (ZSRR). Poetka i historyk literatury. Laureatka najwyższej węgierskiej nagrody literackiej im. Józsefa Attili. Mieszka w Sárospatak.

Éva P. Maklári

Lata czy dni?

(Évek vagy napok?)

Jaki będzie to przełomowe stulecie,
o którym mędracy piszą, mówią:
stopione góry lodowe, spalone pola,
spojrzenia szarpane przez głód i gniew.
gdzie podzieją się panujący i ich doradcy,
co stanie się z bunkrami odpornymi na atom?
Czy narodzą się znów dzieci,
czy ktoś znów zechce się temu poświęcić,
czy będą jeszcze kozy, owce, by
je ogrzewać, jeśli my w innym
podążymy kierunku, jeśli rozżarzony
porządek świata w inną odwróci się
stronę, a zielone drzewa w lód zesztynieją.
Zawsze jednak będzie ktoś, kto krzyż wykona,
i ktoś, kogo ukrzyżują.

Éva P. Maklári – Jedna z najbardziej znanych współczesnych poetek węgierskich. Zaczęła pisać po przejściu na emeryturę. Mieszka w Székesfehérvár.

Simon Serföző

W obcości

(Idegenségben)

Język nasz, stojąca woda Europy
zwolna ulega spłyceniu.
Jego powierzchnia zaśmiecana
obcymi słowami mętnieje,
już nie jest dobrze kąpać się w nim.

Wokół niego brzegi zabagniły się dawno.
Pokrył się szlamem ten nasz język
i wodoroślami.
Już wznoszą się w nim
wyspy obcej mowy.

Rozdzielamy się na części, na konary.
W oczy wciskają się bagienne trzciny
łopoczą sztandary zwycięskich narodów.

Kiedy kurczy się chlupotanina słów naszych
w torfowiskach:
puszczone samopas w obcowiznie,
pozostawione swemu losowi,
schną, póki nie wyschną zupełnie.

Simon Serföző – Urodził się na południu Węgier w 1942 r. Laureat nagrody państwowej im. Lajosa Kossutha. Członek Węgierskiej Akademii Sztuki. Mieszka w Budapeszcie.

Przełożył i notkami o autorach opatrzył Konrad Sutarski

Z przekładów Grzegorza Walczaka

Wiersze poetów chorwackich

Biserka Goles Glasnović

Szklarz z Cres

(Staklar s Cresa)

Nieznajomemu, który poprawił szklane drzwi

Mogłam zasnąć na trawach
Wyspy Aspertides
i na drugi świat odejść
Po skałach chodzić
wpaść w przepaść
i niestety osiąść na mieliznie
Na dzwonie się huśtać
przedromański kościół od zewnątrz zbudować
z sarkofagu drzwi do świątyni zrobić
Ukryć się w ziemi
i jak mirt kielkować

Mogłabym przez szklany mur się przesmyknąć
Niewinne i szorstkie
słowa się rozpląnęły
I nieprzywykła do rzeczywistości
Milczę
z okruciami gwiazd w gardle

Haiku

Odwracam
kartkę papieru
szum lasu
Rozbłysły
kropelki piegów
Wiosenny deszcz
Staruszka oparła się
o odciętą gałąź
morele

Biserka Goles Glasnović – Urodziła się w 1958 r. Autorka kilku zbiorów poezji, książek eseistycznych, krytyczno-literackich i podróżniczych. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Chorwackich. Wielokrotnie nagradzana za eseistykę i literaturę podróżniczą. Jej poezja bliska jest ideom hermetycznym i mistycznym.

Miroslav Kirin

Powód

(Razlog)

Mam jeden powód, co na dziś wystarczy wystarczy, że was spokojnie rozwalę. Jeśli rozwalę, czy sam jeszcze będę będę tak, aby móc z sobą pozostać

Zostanę żywy ze swoim powodem, powodem, co mi nie daje spokoju. Spokój zachowam nocą, a rano a rano ruszę z rewolucją, bracie.

Bracie, i ty swój znajdź dobry powód powód, który połączy nas wszystkich wszystkich, co żyją w upartej pogoni, pogoni za swoim prawdziwym spokojem

Miroslav Kirin – Urodził się w 1965 r. Poeta, prozaik i tłumacz z j. angielskiego. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Chorwackich. Opublikował sześć zbiorów poezji i książkę autobiograficznej prozy. Jego awangardowa poezja bliska jest stylowi Francisa Ponge'a.

Tomislav Domović

Westchnie noc

(Uzdise noć)

Każdy krąg wiersza
wsparty jest talią kobiety, która
swymi dłońmi kroi koszulę na zimowy trawnik.

Każda śruba snu wkręcona jest w belkę
domu, gdzie ocaleli wznoszą toast za zmarłych.

W bosonogie wersety zaplątał się liściasty las.
W wygiętej śrubie zastygły gwiazdy.

Dziś wieczorem wieczność się odważy, wstąpi pod dach.
Żywym przywróci pozostałe tykanie w piersiach.
Martwych wyposaży na podróż;
pod powiekami zasieje południową lawendę i wschodnie słoneczniki.
Mnie wydłubie z belki, serce przeciągnie przez ucho igielne.
Teraz ma nieć, może uszyć koszulę.

Tomislav Domović – Urodził się w 1964 r. W literaturze pojawił się w latach osiemdziesiątych przeszłego wieku. Jest autorem dwudziestu zbiorów poezji. Członek Akademii Słowiańskiej. Reprezentowany w licznych antologiach i czytankach (lekturach szkolnych) języka chorwackiego. Poeta źródłanego, poetyckiego natchnienia o bogatej metaforyce.

Dražen Katunarić

Sfinks

(Sfinga)

no proszę
i ja
znajduję się

w tym wierszu
bym mógł
po wielekroć
wypowiedzieć słowo sfinks
na głos
bez względu na dzisiejsze okoliczności
na władzę która teraz rządzi
sfinks jest tu
tajna wieść na łapach
siedzi i ani drgnie w czasie
sfinks – nigdy się na niego dość nie napatrzyłem
nigdy do końca
sfinks – szukałem mu żony
dobrego posagu
sfinks – szukałem jego zachęty
do wieczności
sfinks – po śmierci
szukałem jego cytatów
sfinks – co mi powie
będzie zagadkowe
kiedy poznałem miłość
co też jest sfinksem
i tę bez nosa
na starość
gdy trwają przygotowania do rozstania
do wielkiej podróży
w każdej godzinie sfinks, sfinks
chcę powiedzieć życie
chcę powiedzieć niebo
chcę powiedzieć tajemnica
podniosę go tak ciężkiego
jak jest ten zielony egipski porfir
poniosę go w bezpieczne miejsce
postawię na swym piedestale
by patrzył w dal i milczał

by patrzył w dal i milczał

Pewnego dnia była noc

(Jednoga dana bila je noć)

Pewnego dnia była noc.
Mój cień padł na grób,
gdzie będę zakopany.
Nie ja, słońce się dokładnie ułożyło
pod takim kątem,
że cień pokrył płytę
pomiędzy dwoma olendrami
i wszedł poza nią.
Tak jakby część mnie
uciekła do środka,
do grobu.
Jakby część mnie leciała
ku cieniom ojców, dziadków i babć,
pradziadów kapitana długiej podróży,
by się połączyć z nimi w wieczności.
Serce zbiera się w sobie całe życie
na tę godzinę
prawdy,
serce to się nadyma, to kurczy
od tej udręki
przed nicością.
Pewnego dnia była noc.
Mój cień wpadł do grobu
tego cienia,
który stanie się nocą.

Dražen Katunarić – Urodził się w 1954 r. Poeta, prozaik, tłumacz i redaktor. Znajduje się w istotnych antologiach współczesnej poezji chorwackiej, tłumaczony jest na wiele europejskich języków. Redaktor chorwackiego wydania Europejskiego Posłańca. Uczestnik międzynarodowych festiwali poezji. Jego poezja bliska jest wypowiedzi filozoficznej.

Przełożył i notami o autorach opatrzył Grzegorz Walczak

Z przekładów Zbigniewa Zbikowskiego

Olha Olchowa

* * *

Mój cichy Boże, cichy jak nigdy,
do Ciebie w niebiosach, w obłoki, do raju...
do Twego nieba, gdzie nikt nie zna krzywdy,
Anioły Chrystusa z Majdanu zmierzają...
Idą do Ciebie żołnierze niezbrojni,
w kamuflażu i w hełmach, skrwawieni...
Anioły-woje, dzielne, bezbronne...
Idą do Ciebie w nadziei zbawienia...
Ich białe skrzydła spowite dymem,
w nim błyszczy złoto ich twarzy.
My ich powstrzymać mocy nie mamy,
Niebiańskiej sotni — Twoich żołnierzy.
Jedynie modlitwą Cię upraszamy
na rumowiskach kazamatów —
jeśli istnieje najsroższa kara,
ześlij ją, Panie, na głowy katów.

* * *

w moim hermetycznym życiu
autobusy kursują
także w wielkie święta
i obwożą mnie bosą
po szerokim świecie
a potem
przychodzą dni zwykle
i uczucia przygasają

a autobusy
zmieniają
znoszone skrzydła
na kreski
w rozkładzie jazdy

* * *

Chodzę po twych snach jak po dachów
nieznanych grzbietach.
Jak dobrze, że ja kotka a nie ptak.
I nie kobieta.
Bo gdybym ptakiem była, wybrałabym niebo.
Lub klatkę złotą.
A jeśli kobietą, to pewnie ciebie.
I z tobą – wszystko to.

Jak dobrze słyszeć łapami twój lęk,
w którym nocuję
Tu czy na poddaszu świata, pod gwiazdami?
Już tego nie czuję.
Ty śpisz. Ja w śnie. Twoja i niczyja.
Potrafię tak bywać:
Przychodzić nocą z przypływem
a rankiem odpływać.
Niosę księżyc niczym mysz w zębach,
jakby cenny bagaż.
Ty po swych snach na wspólnych poduszkach
mnie oprowadzasz.
Chodzę po tych snach jak po dachów
nieznanych grzbietach.
Jak dobrze, że ja kotka, a nie ptak.
I nie kobieta.

Przełożył Zbigniew Zbikowski

Olha Olchowa (Ольга Ольхова, właśc. Ольга Юріївна Сухомлин, Olha Juri-jewna Suchomlin; jej babka nosiła nazwisko Olchowa) – ukraińska poetka, krytyczka, członkini Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy. Urodziła się 11 września 1983 roku w Łucku. W 2006 roku ukończyła Instytut Dziennikarstwa Kijowskiego Uniwersytetu Narodowego (KNU) im. Tarasa Szewczenki i od 2010 roku tam pracuje. Dziennikarka, redaktor literacki, kandydat nauk o komunikacji społecznej, profesor nadzwyczajny Katedry Kina i Sztuki Telewizyjnej w KNU, od 2018 roku kierownik Katedry Komunikacji Społecznej Kijowskiej Małej Akademii Nauk. Jej tomik poezji *Rusła Zapyast* znalazł się na krótkiej liście „Arsenału Książki 2021” w konkursie „Najlepszy projekt książki”. Reprezentował Ukrainę na Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie nad Menem (Niemcy), w Lozannie (Szwajcaria) i Innsbrucku (Austria).

Jest autorką tomików poetyckich, artykułów krytycznych w periodykach i almanachach literackich. Prowadzi badania naukowe w zakresie komunikacji publicznej, twórczości dziennikarskiej. Wiersze poetki to głównie liryki. Wyróżniają się złożoną metaforą, ścisłą, precyzyjną formą, tematyką dotyczącą relacji międzyludzkich, uczuć, postrzegania tajemnic istnienia i intymności. Jej utwory tłumaczono na język białoruski, litewski, gruziński i angielski. Teraz także polski. Wydała *Ceramiczne sumienie* (2005), *Grzmi grzmot* (2007), *Wysoka wiosna* (2012) *Rusła Zapyast* (2020).

(pmn)

